

MARIA KRÜGER



Siedmioróg

22

MARIA KRÜGER

KAROLCIA



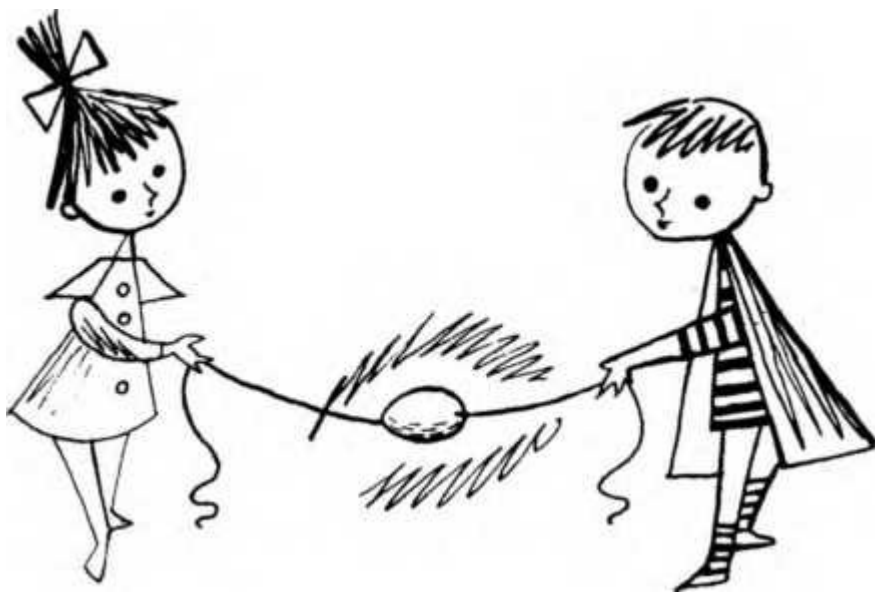
Ilustrowała: Halina Bielińska

LEKTURA DLA KLASY II SZKOŁY PODSTAWOWEJ

© by Piotr Bieliński

ISBN 978-83-7162-457-5

Wydawnictwo Siedmioróg
ul. Krakowska 90, 50-427 Wrocław
Księgarnia wysyłkowa
Wydawnictwa Siedmioróg
www.siedmiorog.pl Wrocław 2008



Dzień dobry!

Zaczyna się opowiadanie o przygodach dziewczynki, która miała na imię Karolcia, i o przygodach chłopca, imieniem Piotr. To, co im się przydarzyło, może się właściwie przydarzyć każdemu. Każdemu, kto...

Sami zresztą się o tym przekonacie. Ale najpierw musicie poznać Karolcię.



NOWINA

Kiedy zaczyna się to opowiadanie, Karolcia ma osiem lat i osiem miesięcy. Jak wygląda Karolcia? Nie jest bardzo duża, nie. Mama trochę się tym martwi, bo mamy zawsze chęć, żeby dzieci były wysokie i żeby wszyscy kręcili z podziwu głowami, mówiąc: Naprawdę? Osiem lat? A wygląda na dziesięć! A Karolcia wygląda akurat na tyle, ile ma — ale na pewno jeszcze urośnie. Urosną też jeszcze na pewno i Karolcine włosy jasne, związane w kitkę. Taka kitka związana ładną wstążką zupełnie porządnie wygląda, zwłaszcza że grzywka, która spada na Karolcine czoło, jest równiutko przycięta. Wiecie więc już, jak Karolcia jest uczesana — teraz jeszcze powiemy, że ma okrągłą buzię i trochę wystającą bródkę. A oczy ma takie kocie — duże, okrągłe i zielonkawe.

Tak wygląda Karolcia. Poza tym należy dodać, że Karolcia jest jedynaczką, to znaczy, że nie ma ani brata, ani siostry. Ma tylko mamusię i tatusia, i ciotkę Agatę, która jest grubiutka i zawsze się tym martwi, że wszyscy w domu za mało jedzą.

Można też jeszcze powiedzieć, że Karolcia za parę dni otrzyma świadectwo szkolne, w którym będzie napisane, że przechodzi do klasy trzeciej.

W tej chwili, kiedy spotkaliśmy Karolcię biegnącą do domu, ona sama jeszcze nic nie wiedziała o rzeczach niezwykłych, które się jej przytrafią. Ale to bardzo często tak bywa — nie wiemy, co nas czeka nawet w najbliższej przyszłości.

Wszystko zaczęło się od tego, że tatuś przyszedł na obiad z nowiną o przeprowadzce. Oczywiście jest to nowina nie byle jaka — zmiana mieszkania. Cała rodzina miała się przeprowadzić do pięknego mieszkania w nowym domu. Miało to być mieszkanie nie tylko ładniejsze, ale i większe, i z balkonem.

Wszyscy bardzo ucieszyli się tą nowiną i od razu zostało

ustalone, że przeprowadzka odbędzie się za tydzień i że trzeba już zabierać się do pakowania rzeczy. Poza tym mama i tatuś postanowili, że natychmiast po obiedzie pojedą obejrzeć to nowe mieszkanie, a Karolcia z nimi nie pojedzie, ponieważ ma dużo lekcji do odrobienia. Oczywiście nie było to najprzyjemniejsze — bo Karolcia wolałaby zobaczyć to mieszkanie z balkonem zamiast uczyć się tabliczki mnożenia, ale trudno. Karolcia już się nieraz przekonała, że nie zawsze robi się same przyjemne rzeczy.

To wszystko wydarzyło się tego dnia, kiedy spotkaliśmy Karolcię. A potem, już w następnych dniach, było tylko pakowanie i pakowanie. Wszyscy byli ogromnie zajęci i przejęci przeprowadzką. Karolcia również była zajęta — musiała przecież w jednej ze skrzyń przywiezionych z takiego biura, które załatwia przeprowadzki, ułożyć swoje książki i zabawki. Tatuś co prawda trochę się skrzywił, gdy zobaczył, że Karolcia wkłada do skrzyni starannie zawiniętą w chusteczkę Ewelinkę, tę najbardziej biedną z lalek — zupełnie prawie wyłysiałą, ale Karolcia spojrzała na tatusia tak błagalnie, że dał spokój wszelkim wymówkom. Zwłaszcza że mama powiedziała: „Niech zabierze tę biedną Ewelinkę. Jest do niej bardzo przywiązana”.

I w ten sposób nadszedł dzień przeprowadzki na nowe mieszkanie.

Teraz trzeba by tylko jeszcze powiedzieć coś o tym właśnie mieszkaniu. Otóż mieściło się ono w nowych — i jak tatuś zapewniał — niezwykle ładnych blokach mieszkalnych przy ulicy Kwiatowej. Dom ma numer dwadzieścia. A mieszkanie siedem. I mieszkanie jest na pierwszym piętrze. Z balkonem.

Tak, to zapowiadało się zupełnie dobrze. Tak dobrze, że Karolcia już nie mogła doczekać się dnia przeprowadzki. I nawet w kalendarzu na tej kartce, która oznaczała ten ważny dzień, narysowała czerwony kwiatek.

Jakoż dzień ten w końcu nadszedł. I okazał się dniem nie tylko tak ważnym, jak to Karolcia przypuszczała, ale jeszcze ważniejszym. Naprawdę zupełnie niezwykłym.

ZACZĘŁO SIĘ ZWYCZAJNIE

Właściwie wszystko zaczęło się zupełnie zwyczajnie. Tak jak zawsze w dniu przeprowadzki. To znaczy, że tego dnia wszyscy wstali o wiele wcześniej niż zwykle, śniadanie zjadło się szybko i nikt nie pilnował Karolci, żeby wypić mleko, a potem zaraz przyszedli mężczyźni w niebieskich kombinezonach i zaczęli wynosić skrzynie z książkami i innymi rzeczami oraz meble. Wtedy najpierw okazało się, że ściana w tym miejscu, gdzie stała szafa z książkami, jest o wiele jaśniejsza niż reszta ściany, potem okazało się, że za starym koszem, w którym były różne niepotrzebne ścinki materiałów i nie noszone suknie mamy, myszki zrobiły sobie małe, śmieszne, szare gniazdko, teraz zresztą zupełnie puste, i że wreszcie w szparze podłogi, gdzie stał dawniej kredens, niebieszczy się niebieski, podłużny jak fasolka koralik.

Zupełnie nie było wiadomo, skąd się tam wziął, gdyż ani Karolcia, ani mama, ani ciotka Agata nigdy nie miały takich koralików. Karolcia chciała koniecznie ten koralik wydłubać ze szpary, bo wydał się jej bardzo ładny, ale zaraz o tym zapomniała, bo jak to zawsze przy przeprowadzce — na nic nie ma czasu: wszyscy się śpieszą zupełnie nie wiadomo dlaczego, są zdenerwowani i wołają: „Karolciu, nie przeszkadzaj!” Przypomniała sobie o tym koraliku dopiero wtedy, kiedy okazało się, że ma pojechać do nowego mieszkania taksówką razem z ciotką Agatą i że ta taksówka już czeka przed domem.

Nie zważając więc na pełne oburzenia okrzyki ciotki Agaty, zawróciła z podwórka i wpadła do zupełnie już pustego pokoju, w którym podłoga pokryta była podartymi papierami, słomą od pakowania szkła i kurzem. Rozejrzała się niespokojnie, ale zaraz odetchnęła z ulgą — koralik niebieszczył się w pełnej kurzu szparze podłogi. Po prostu można by powiedzieć, że jaśniał jakimś przedziwnie pięknym blaskiem. Wydał się teraz

Karolci jeszcze ładniejszy niż przedtem. Przyklękła i szybko, przy pomocy jakiejś drzazgi, która leżała w pobliżu, wydobyła koralik ze szpary.

— Karolciu! — rozległ się rozpaczliwy, rozdzierający okrzyk ciotki Agaty.

— Idę! Już idę! — odpowiedziała Karolcia i zbiegła ze schodów. Koralik mocno ścisnęła w dłoni, bo bała się go zgubić. I mimo że ciotka Agata bardzo gniewała się o to, jak powiedziała, „bieganie nie wiadomo po co” — Karolcia była ogromnie szczęśliwa. W zaciśniętej dłoni czuła podłużny, twardy kształt koralika.

— Na litość boską! Prędszej! — wołała tymczasem ciotka. — Musimy zaraz jechać na Kwiatową. Proszę pana — zwróciła się do szofera taksówki — niech pan nas zawiezie na Kwiatową numer dwadzieścia! Tylko możliwie szybko!

Szofer taksówki odwrócił się, mrugnął porozumiewawczo do Karolci, sprawdził, czy drzwiczki są dobrze zamknięte, i oświadczył pogodnie:

— No, to jedziemy!

Ba! Dobrze to powiedzieć: jedziemy! Ale jechać, jak się okazuje, jest o wiele trudniej. Zupełnie jakby wszystkie taksówki i autobusy, i samochody ciężarowe, i tramwaje, i trolejbusy umówiły się, że akurat spotkają się na jezdni o tej godzinie! Taki był tłok wszelkich pojazdów.

— Cóż za korek! — narzekał kierowca. — Ani rusz nie można się przepchnąć! Teraz taka pora, że najwięcej jeżdżą! Ba, żeby to tak moja taksóweczka mogła pofrunąć, tobyśmy dopiero szybko zajechali na Kwiatową, co, córeczko?

I odwrócił się do Karolci.

— Pewnie że to byłoby dobrze — grzecznie przytaknęła Karolcia — ja też bym chciała, żeby mogła fruwać!

W tejże chwili Karolcia uczuła jakby lekkie szarpnięcie i ze zdumieniem zauważyła, że taksówka powoli zaczęła unosić się ponad ulicą, ponad stłoczonymi autami i sunącymi po szynach tramwajami, przeskoczyła nawet lekko nad dachami domów.

Karolcia spojrzała na ciotkę Agatę — co też ciotka Agata o tym myśli? Ale ciotka drzemała i kiwała się miękko i

rozkosznie w takt lekkich podskoków fruwającej taksówki. Wobec tego Karolcia zwróciła się do kierowcy:

— Proszę pana!

Ale kierowca tylko obejrzał się, uśmiechnął porozumiewawczo i mruknął:

— Dobra jest!

Właśnie zgrabnie ominął wieżę ratuszową i skręcił ponad dachem jakiegoś wysokiego domu.

— Ależ to jest ten wielki dom towarowy — zdziwiła się Karolcia.

Kierowca zgodnie skinął głową i zapytał uprzejmie:

— Czy masz ochotę tu wstąpić? Jeśli chcesz, możemy zatrzymać się na chwilę.

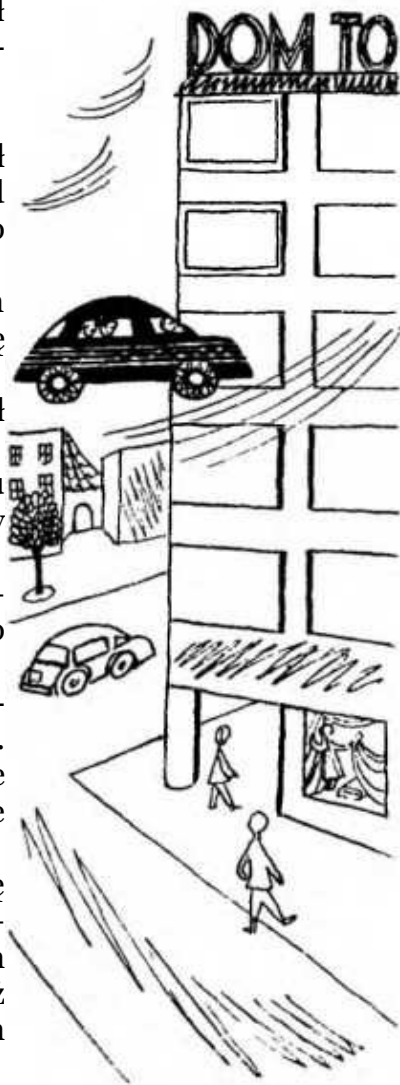
— Och! Ooooooczywiście... — wyjąkała Karolcia — ale czy to będzie możliwe?

— Naturalnie, zupełnie możliwe — zapewnił kierowca. Karolcia spojrzała niespokojnie na ciotkę, która właśnie obudziła się.

— Zdaje się, że macie ochotę zawadzić o dom towarowy? — zauważyła pogodnie. Po czym dodała ochotczo: — Ja też chętnie tu zajrzę! Chciałabym kupić sobie kapelusz!

Wobec tego zatrzymamy się na wysokości trzeciego piętra. To będzie najwygodniej — zdecydował kierowca.

— Będę panu niezmiernie wdzięczna — odpowiedziała



grzecznie ciotka Agata — właśnie marzę o kapeluszu z fiołkami!

Ledwie to powiedziała, taksówka zawisała na wysokości trzeciego piętra i zgrabnie wjechała do wnętrza przez otwarte, wielkie okno. Nikogo to jakoś nie zdziwiło.

— Podjechałem tak, aby było wygodniej — kierowca był bardzo z siebie zadowolony. — Poczekam tu.

— Chciałabym tylko zobaczyć pokoik dla lalki — wyjaśniła Karolcia, gdy tymczasem ciotka Agata wylądowała już przy ladzie z kapeluszeniami i przymierzała wszystkie po kolei.

Pokoiki dla lalek — w dziale zabawek — były niezwykle piękne. Zwłaszcza jeden z różowymi mebelkami był po prostu prześliczny!

— Czy chcesz coś kupić? — spytała jedna ze sprzedających.

— Kup ten różowy pokoik dla lalek. Widzisz? Ma elektryczne oświetlenie. A przy pokoiku jest łazienka. Kup ten pokoik. Albo może wolisz tę lalkę? Patrz, jakie ma wspaniałe włosy. Można je nie tylko czesać, ale i myć. Przyjemnie byłoby mieć lalkę, której można umyć głowę, prawda?

— Prawda — szepnęła zachwycona Karolcia.

— No, więc kup sobie coś z tych zabawek.

— Kiedy nie mam pieniędzy — wyznała z zawstydzeniem Karolcia.

— Och — sprzedająca machnęła ręką i uśmiechnęła się dziwnie

— pieniądze wcale nie są potrzebne. Wystarczy, jeśli mi po prostu dasz ten niebieski koralik, który dziś znalazłaś...

Karolcia dopiero teraz przypomniała sobie o koraliku. Skąd ta pani wie o nim?... Pełna zdumienia sięgnęła do kieszeni, gdzie go wsunęła, gdy w tej chwili podbiegł do niej kierowca taksówki. Ku wielkiemu zdziwieniu Karolci krzyknął srogo do sprzedającej:

— Co, chciałabyś zdobyć koralik, prawda? Ale to ci się nie uda!

O nie! Ja cię znam!

A potem chwycił mocno Karolcię za rękę i pociągnął za sobą.

— Musimy zaraz stąd odjechać! Oj, Karolciu — pokiwał głową — jak można być tak lekkomyślną! Miałem wrażenie, że gotowa

jesteś oddać swój niebieski koralik Filomenie.

— Filomenie? — zdumiała się Karolcia. — Kto to jest?

— Jak to, nie wiesz? — kierowca zdenerwował się ogromnie.

— Nie wiesz, że to jest najbardziej chytra z czarownic? Znam ją, moja droga! Ja też, kiedy byłem małym chłopaczkiem, miałem... niebieski koralik. I też taka sama Filomena, kropka w kropkę podobna, chciała mi go zabrać... Uciekajmy! — krzyknął naraz. Biegł teraz szybko, ciągnąc Karolcię za sobą. Po drodze zawadzili o dział kapeluszy damskich, przy którym ciotka Agata z rozmarzonym wyrazem twarzy przymierzała właśnie trochę śmieszny kapelusik z fiołkami.

— Nie mamy ani chwili do stracenia! — powiedział do ciotki kierowca i nie czekając, co na to odpowie, chwycił ją za rękę.

Motor taksówki warczał niecierpliwie, gdy wszyscy troje znaleźli się już w jej wnętrzu.

— Ruszamy do domu! — zawołał kierowca. — Uciekajmy! Filomena nas goni!



— To jest, czarownica, ciociu! — wyjaśniła śpiesznie Karolcia. Rzeczywiście! Od strony lady z zabawkami biegła z rozwianym włosom Filomena. Dopiero teraz Karolcia zauważyła, że ma bardzo długi, spiczasty nos, trochę podobny do bocianiego dzioba. Wyciągała w stronę Karolci szponiaste ręce i coś wołała. Ale nie wiadomo co, gdyż w domu towarowym jak zawsze panował ogromny hałas i nie można było dosłyszeć niczyjego głosu. Na szczęście Filomena biegła na próżno, gdyż taksówka już szybowiała znów ponad ulicami. Karolcia koniecznie chciała dowiedzieć się od kierowcy czegoś więcej o tej Filomenie i o koraliku, ale niestety przeszkodziła jej w tym ciotka Agata. Zachwycona swoim kapelusikiem z fiołkami przeglądała się ciągle w lusterku i żądała, aby Karolcia i kierowca podziwiali jej elegancję, zwłaszcza przypięte do kapelusika kwiatki.

— Ależ one są świeże i pachną! — zauważyła ze zdumieniem Karolcia. Ciotka Agata nie traktowała jednak tego faktu jako czegoś nadzwyczajnego, tylko po prostu uśmiechała się i nuciła jakąś piosenkę.

Naraz taksówka silnie szarpnęła.

— Co się stało? — zdziwiła się Karolcia.

— Przyjechaliśmy już na miejsce — powiedział kierowca — oto ulica Kwiatowa numer dwadzieścia, tak jak panie sobie życzyły. Należy się dziewięć złotych i dwadzieścia groszy.

Ciotka Agata zaraz zaczęła szperać w swojej dużej torbie i szukać drobnych, a kiedy już zapłaciła, szybko wygramoliła się z taksówki.

— Prędej, prędzej, Karolciu! Mama i tatuś już na pewno czekają na nas!

Karolcia chciała jeszcze koniecznie porozmawiać z kierowcą, ale gdzie tam! Ciotka Agata schwyciła co prędzej Karolcię za rękę i pociągnęła ją w stronę nowego domu. Karolcia zdążyła tylko jeszcze odwrócić głowę w stronę taksówkarza. Uśmiechnął się do niej i kiwnął głową na pożegnanie, po czym odjechał.

— Musimy poszukać teraz tego naszego mieszkania — mruzczała tymczasem ciotka — zaraz, zaraz, mieszkania siedem,

to chyba będzie tu! O, jest nawet dzwonek. — I ciotka Agata energicznie nacisnęła guziczek. Po krótkiej chwili w otwartych drzwiach ukazała się mama.

— O, jesteście nareszcie! Cóżście tak długo jechały?

Karolcia już miała zamiar opowiedzieć coś niecoś o niezwyklej jeździe i wytłumaczyć jakoś tę wizytę w domu towarowym, gdy ciotka Agata jak gdyby nigdy nic powiedziała:

— Jak to: długo? Taksówka jechała jak szalona.

— Ale cóż to, Agatko? Masz jakiś nowy kapelusz? — zdziwiła się mama. — A te kwiatki przy nim? Przecież to żywe fiołki, tylko że już zwiędły.

— Nie mam pojęcia, skąd ten kapelusz wziął się na mojej głowie — wyznała z ogromnym zdumieniem ciotka.

TROCHĘ O SĄSIADACH I O DESZCZOWYM DNIU

Na nowym mieszkaniu jest zupełnie przyjemnie. Można by nawet powiedzieć, że bardzo przyjemnie. Przede wszystkim jest większe od dawnego i ma, jak już było powiedziane, duże okno i balkon, które wychodzą na ulicę, i dwa okna, które wychodzą na podwórze — to znaczy na ładne, rozległe trawniki, na których są klomby z kwiatkami i przy których stoją ławeczki. A przez to okno i przez balkon, który wychodzi na ulicę, można widzieć wszystko, co się na niej dzieje. Nie jest to taka najbardziej ruchliwa ulica, ale w każdym razie jest zawsze na niej sporo przechodniów, a poza tym przejeżdża autobus, przystanek zaś znajduje się prawie pod samym balkonem. Więc jak z tego widać — mieszkanie to posiada sporo zalet, zwłaszcza jeśli się doda, że ma również piękną łazienkę, w której Karolcia starannie i często myje ręce. Gdyż nie ma nic przyjemniejszego nad robienie piany z mydła i splukiwanie jej.

Mówiąc o zaletach mieszkania, nie wolno też pominąć tak ważnej rzeczy jak sąsiedztwo. Otóż zarówno w domu, w którym mieszka Karolcia, jak i w sąsiednich, przylegających blokach nie brak jest dzieci. Naturalnie że nie o wszystkich będziemy tu mówić, ale tylko o tych, z którymi Karolcia zawarła znajomość. Chyba więc zaczniemy od najbliższych sąsiadów. Takich najbliższych to jest troje. Z tej trójki przede wszystkim należy wymienić Piotra. Piotr mieszka na drugim piętrze, tuż nad Karolcią. Mimo że jest chłopcem, i to o pół roku starszym od Karolci, i przeszedł już nawet do czwartej klasy — bardzo się z Karolcią zaprzyjaźnił. Aby coś jeszcze więcej było o nim wiadomo — powiemy, że jest od Karolci wyższy, ma jasne włosy, interesuje się geografią oraz bardzo lubi czytać. Drugim takim sąsiadem, z którym Karolcia zawarła przyjaźń, jest Leszek. Leszek mieszka na drugim piętrze, po przeciwnej stronie klatki schodowej, i ma bardzo miłą siostrzyczkę.

Siostrzyczka nazywa się Jania i jeszcze nawet nie chodzi do szkoły; dopiero po wakacjach będzie chodziła do pierwszej klasy. Tak więc się składa, że w najbliższym sąsiedztwie mieszkają chłopcy. Dziewczynki, z którymi Karolcia też trochę się przyjaźni i bawi — mieszkają w sąsiednich blokach; tam również mieszkają chłopcy, ale tacy niezbyt sympatyczni. A jeśli chodzi o dziewczynki, to jedyną z nich nazywa się Dorota, ma czarne warkocze i jest trochę starsza od Karolci, a druga nazywa się Agasia, ma włosy związane na czubku głowy w koński ogon i ma akurat tyle lat, ile ma Karolcia. Obydwie bardzo lubią stawać przed wystawą wielkiego sklepu z zabawkami po przeciwnej stronie ulicy i opowiadać, co która chciałaby mieć.

Zdaje się, że należałoby też wspomnieć i o pewnych sąsiadach, takich dalszych. Są to dwaj chłopcy. Karolcia nie lubi ich, ponieważ ją przezywają. Ale najgorsze jest to, że naprawdę, ale to naprawdę napadają na inne dzieci. Ci chłopcy to są dwaj



bracia — jeden nazywa się Waldek, a drugi Robert.

To byłoby wszystko o sąsiadach. Teraz należałoby jeszcze dodać, że od kilku dni ktoś jeszcze przybył do rodziny Karolci — jest to nieduży kotek, szary z białą mordką i różowym nosem, bardzo węsaty i zawsze chętny do zabawy. Kotek nazywa się Gracja. Tak go nazwała ciotka Agata, zaznaczając przy tym, że jest to właściwie kotka, która na pewno ciągle będzie miała kocięta. Ale na razie przepowiednie ciotki Agaty nie sprawdzają się. Gracja jest jeszcze przecież sama kocim dzieckiem. Gracja lubi o zmroku przebiegać w dzikich susach przez wszystkie pokoje, a w dzień chętnie siedzi na oknie lub balkonie i stamtąd obserwuje biegającego po podwórzu, nieco krzykliwego, psa pani dozorcyni. Pies jest nieduży, bardzo gruby, ma wesoło zakręcony ogonek i nazywa się Nero. Jeśli Nero jest już zbyt hałaśliwy, Gracja podnosi się, wygina grzbiet i otwierając szeroko różowy pyszczek prycha i mówi coś w rodzaju: „Hiii”, co zresztą również przypomina syk węża.

W tej chwili to jednak nie jest najważniejsze. Najważniejszy był pewien deszczowy dzień — jeden z takich dni, kiedy na świecie jest bardzo nieprzyjemnie. Niebo było szare i tak było ciemno, że rano, mimo że to lato, zapalono światło. Deszcz padał drobniutki, ale na ulicy robiły się już spore kałuże.

— Nie ma bułek — zauważyła zaraz z samego rana krzątająca się w kuchni ciotka Agata. — Ale nie wiem, czy można posłać Karolcię, bo deszcz pada. Żeby znów bardzo nie zmokła.

Mama i tatuś szykowali się do wyjścia i jak zawsze śpieszyli się.

— Oczywiście, że Karolcia może pójść po bułki! — zawołała z łazienki mama. — Tylko niech włoży ten stary płaszczyk.

Karolcia trochę niechętnie słucha tego polecenia. Ponieważ jest brzydko na świecie i wszyscy w domu śpieszą się do pracy, więc nie będzie można zatrzymać się po drodze z piekarni przed wystawą tego sklepu, gdzie są najładniejsze zabawki w całym mieście. Ale trudno.

Ciotka Agata narzeka ciągle na reumatyzm, więc nie może pójść, tatuś i mama nie mają czasu, więc przynoszenie bułek jest obowiązkiem Karolci. Dziś, jak już było powiedziane,

Karolcia rezygnuje z oględzin wystaw, szybko wraca do domu i wręcza ciotce Agacie siatkę z pieczywem.

— Doskonale, ładne bułeczki przyniosłaś — chwali ciotka Agata — a resztę masz? Nie zgubiłaś?-

— Oczywiście, że nie zgubiłam! — oburza się Karolcia.

Drobne monety pobrzękują w kieszeni płaszczyka. Karolcia wyjmuje je. Zaraz, coś to jest jeszcze na dnie kieszeni? Jest to coś małego, coś, co trudno jest wydobyć, gdyż wsunęło się za podszewkę. Zaraz, zaraz! O! Już jest! Przecież to błękitny koralik!!!

— Karolciu! — woła tymczasem mama — myj ręce i siadaj do śniadania!

— Już idę — odpowiada Karolcia i wpada do łazienki. Na otwartej dłoni trzyma teraz jaśniejący błękitem koralik. Jak to się stało, że zapomniała o nim? Zaraz, zaraz, jak to było...

— Umyję go — postanawia naraz Karolcia. I mocno mydli ręce, a na środku prawej dłoni trzyma koralik. Coraz więcej robi się mydlanej piany, a bańki rosną a rosną.

— Ach, jak to przyjemnie — odzywa się naraz jakiś cienki, ale miły głosik — jak przyjemnie! Od wieków chyba nie kąpałem się!...

Karolcia obejrzała się niespokojnie, ale w łazience nie było nikogo.

— Można mnie jeszcze raz namydlić tym pachnącym mydłem

— odezwał się głosik. Był teraz rozmarzony i poufały.

— Czy do mnie to mówisz? — spytała Karolcia i zaraz dodała:

— Iw ogóle nie wiem, kto jesteś i dlaczego cię nie widzę!

— Oczywiście, że do ciebie mówię — w głosie czuło się teraz jakby lekkie oburzenie — czy doprawdy nie poznajesz mnie? Sama przecież wyciągnęłaś mnie z tej wstrętnej szpary...

— Ach, to ty!... Niebieski koraliczku! — szepnęła ze zdumieniem Karolcia, szeroko otwierając oczy.

— No, nareszcie zdecydowałaś się mnie poznać — gderał głosik, wyraźnie jednak już udobruchany. — Jestem ci bardzo wdzięczny, że mnie wydobyłaś z tej szpary w podłodze pod ciemną szafą, gdzie zresztą przeleżałem chyba kilka lat. A może nawet kilkadziesiąt. Schowałem się tam wtedy przed Filomeną,

która mnie goniła.

— Przed Filomeną? — zdziwiła się Karolcia. I zaraz sobie przypomniała: — Aha! Czekaj! Filomena, Filomena... Skąd znam to imię?..

— Ojej — głosik był teraz zniecierpliwiony. — Lepiej słuchaj uważnie, bo muszę z tobą pomówić...



— Tak — zaczęła Karolcia niepewnie — ale jakoś trudno rozmawiać z tobą i tak dziwnie. Jesteś taki maleńki...

— Ach, to ci przeszkadza — głosik śmiał się cichutko i srebrzyście — na to znajdzie się zaraz rada. Patrz uważnie!

Teraz zaczęły się dziać rzeczy dziwne. Koralek zaczął rosnąć i powiększać się, przy czym jednocześnie stawał się coraz mniej błękitny, a za to coraz bardziej przezroczysty. W końcu wyglądał jak spora bańka mydlana. Wtedy zaczął podskakiwać na dłoni Karolci.

— Och, jak to dobrze trochę tak się rozciągnąć i poruszać. Tyle lat byłem nieruchomy. Pozwól, że podskoczę jeszcze ze dwa razy.

— Proszę — zgodziła się zdumiona Karolcia.

Mieniając się błękitnie bańka mydlana, która przedtem była koralikiem, podskoczyła wesoło i nawet nie dwa razy, tylko co najmniej pięć, a potem znów przysiadła na dłoni Karolci.

— Teraz muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego — głosik brzmiał uroczyście. — Słuchaj, Karolciu, za chwilę znów stanę się koralikiem, gdyż nie mogę być tak długo bańką mydlaną, zdarza mi się to bardzo rzadko. Błagam cię, nie upuść mnie na podłogę, bo potoczę się do jakiejś ciemnej dziury, gdzie przeleżę znowu dziesiątki lat. Ale chcę, żebyś pamiętała o jednej niezmiernie ważnej rzeczy. Otóż jestem gotów spełnić twoje wszystkie życzenia...

— Spełnić moje wszystkie życzenia? — zdziwiła się niezmiernie Karolcia. — Jak to? Nie rozumiem...

— Oj, Karolciu! — głosik był zniecierpliwiony. — Słuchaj uważnie, przecież mówię wyraźnie: mogę spełnić każde życzenie człowieka, który trzyma mnie w swej dłoni.

— Karolciu! Karolciu! — rozległ się nagle z pokoju głos mamy. — Co ty tam robisz tyle czasu w łazience! Skończ z tym chłapaniem się...

— O Boże! — szepnęła Karolcia. — Mama! Mama mnie woła.

Mieniając się bańka mydlana z cichym westchnieniem zmieniła się znowu w błękitny koralik, który zdołał jeszcze szepnąć:

— Błagam cię, wytrzymaj mnie teraz do sucha i schowaj dobrze. Aha, i jak ci się podobała historia z taksówką?...

— Ach, więc to była twoja sprawka! — ucieszyła się Karolcia.

— Karolciu! — głos mamy był coraz bardziej zniecierpliwiony.

— Idę! Idę! — odskrzyknęła Karolcia. Wycierała teraz starannie koralik, który jaśniał przedziwnym błękitem.

— Karolciu, czy już umyłaś wreszcie ręce? — Mama dość gwałtownie otworzyła drzwi łazienki.

— Umyłam — powiedziała Karolcia.

— No to proszę cię, zjedz wreszcie śniadanie. Ciotka Agata denerwuje się, że wszystko stygnie. Proszę zjeść owsiankę, bez żadnego wykrzywania się.

— Dobrze, mamu, zaraz zjem — zgodziła się Karolcia,

ściskając mocno w dłoni błękitny koralik. Potem, tak na próbę, szybko w myśli wypowiedziała życzenie. Niech owsianka w jednej chwili zniknie z talerza!

— Ho, ho, zdaje się, że nasza Karolcia nareszcie polubiła tę pyszną, pożywną zupę — ucieszyła się ciotka, widząc pusty talerz.

CO BYŁO DALEJ

„Nie wiem, czy jestem zupełnie w porządku — myśli wobec tego Karolcia — bo przecież ciotka Agata jest pewna, że zjadłam owsiankę i że będę wskutek tego silna i zdrowa. A ja, po pierwsze, jestem głodna, a po drugie, oszukałam pocziwą cicię. Na przyszłość muszę jakoś inaczej urządzać się z tym jedzeniem”.

A tu ciotka w dodatku jeszcze zaczyna chwalić Karolcię wobec tatusia i mamy, że niby tak grzecznie wszystko zjadła.

„Jutro już jednak zjem owsiankę — postanawia ze skrucą Karolcia — ale czy mogę używać pomocy koralika do takich mało ważnych rzeczy?...”

Tymczasem w przedpokoju trzasnęły drzwi wejściowe. To tatuś wyszedł do biura. Mama krzątała się jeszcze i ubierała, a ciotka Agata miała właśnie zamiar pójść po zakupy.

— Nie wiem, czy dziś jeszcze coś dobrego dostanę — biadała.

— Chciałam kupić kurę, ale gdy pomyślę, że trzeba jechać aż na rynek w taki deszcz!...

„Ciotka Agata naprawdę jest bardzo dobra i troszczy się o nas — pomyślała Karolcia. — Chciałabym, żeby nie musiała jeździć po tę kurę”.

W tej chwili w kuchni rozległo się donośne gdakanie — piękna kokosz przechadzała się po stole, dziobiąc z zadowoleniem okruszki chleba na obrusie.

— Żywa kura! A sio! — krzyknęła z niepomiernym zdumieniem ciotka Agata. — Skąd się tu wzięła?! Widać przyfrunęła przez okno od sąsiadów, że też ludzie nie pilnują swego drobiu!

Mama wcale nie była zachwycona.

— Co z nią teraz zrobimy? Trzeba będzie chodzić od mieszkania do mieszkania i pytać, czyja kura. Też kłopot.

„Ojej, niech już lepiej ta kura zniknie” — pomyślała wobec

tego Karolcia, ściskając w ręce koralik. Życzenie jej zostało oczywiście natychmiast spełnione.



— Jak to, już nie ma tej kury?
— dziwiła się tymczasem ciotka, która znów zajrzała do kuchni.
— Wyleciała z powrotem czy co? No, to ja idę po sprawunki. Trzeba coś kupić na obiad.

Drzwi za ciotką Agatą zamknęły się. Mama również ubierała się do wyjścia. Spieszyła się jak zawsze.

— Czy prędko wrócisz, mamó?
— spytała Karolcia.

— Ach, nie wiem — westchnęła mama. — Muszę po wyjściu ze szpitala (mama pracowała w szpitalu) iść jeszcze załatwić parę spraw.

Gdybyś była starsza, tobyś mogła mnie wyręczyć. Ale jesteś jeszcze na to za mała. — I mama przytuliła Karolcię do siebie i pocałowała ją.

— Mamusiu, chciałabym jak najprędzej być dorosła, aby ci pomagać we wszystkim! — powiedziała z zapalem Karolcia również

całując mamę w policzek. Lecz zanim to niebaczne zdanie zostało wypowiedziane do

końca, Karolcia poczuła, że dzieje się z nią coś dziwnego.

— Chętnie ci pomogę, mamó — powtórzyła. I naraz zauważyła, że jest wyższa od mamy.

— Przepraszam, ale nie wiem, kto pani jest! — powiedziała ze zdumieniem mama, odpychając lekko Karolcię. — Pani pewnie

szuka naszych sąsiadów? Moja córeczka zaraz panią zaprowadzi do nich... Karolciu!...

Karolcia w tej chwili spojrzała w wiszące naprzeciwko lustro i przekonała się, że jest wysoką osobą, ubraną zupełnie dorośle, i że nawet ma na głowie kapelusz.

— Karolciu — powtórzyła mama — gdzie jesteś?

— Przecież tu jestem, mamó — powiedziała Karolcia i chciała znów przytulić się do mamy. — Czy nie poznajesz mnie, mamó? Tylko jestem zaczarowana, i ta kura też była zaczarowana!...

— Ależ czego pani sobie życzy?! — krzyknęła przestraszona mama. — Przepraszam, aleja pani nie znam!

— Mamó, kiedy to ja! — powtórzyła Karolcia. I od razu chciała poprosić koralik, żeby znów mogła stać się małą Karolcią, gdy naraz z przerażeniem spostrzegła, że nie wie, gdzie się podział. Co teraz będzie?

Tymczasem mama denerwowała się:

— Ja pani nie znam! — powtarzała. — Pani się omyliła!

— Kiedy ja jestem Karolcia, mamó, przyjrzyj mi się! — wołała znów Karolcia. — Poczekaj, niech tylko znajdę koralik!

— O Boże — jęknęła mama — ja się bardzo śpieszę, proszę pani, muszę już wyjść do pracy. Pani na pewno przyszła do kogoś innego. — To mówiąc otworzyła drzwi.

— Ojej, co ja teraz zrobię! — Karolcia była najzupełniej zrozpaczona. Mama tymczasem ujęła ją lekko pod rękę i wyprowadzając do sieni, objaśniła: — Na parterze jest dozorca. On pani pomoże znaleźć tę osobę, której pani szuka.

GDZIE JEST KORALIK?

„Muszę zaraz z powrotem stać się małą dziewczynką — myślała zrozpaczona Karolcia stojąc pod drzwiami, które zamknęła za nią mama. — Ale co będzie, jeśli nie znajdę koralika? A jeśli upadł na podłogę? Mama już za nic na świecie nie wpuści mnie do mieszkania! A koralik albo wpadnie znów do jakiejś szpary, albo po prostu ciotka Agata wymiecie go, kiedy będzie robiła porządki! Co począć? Ale swoją drogą to śmieszne, że mama mnie nie poznała!”

Naraz na podwórku ktoś zawołał:

— Karolciu! Karolciu! Chodź do nas!

— Idę! — odpowiedziała ochotczo Karolcia zapominając o swoim zmartwieniu i chciała zbiec szybko ze schodów. Niestety, przeszkadzały jej w tym wysokie obcasy, a spódnica płatała się naokoło nóg. Wobec tego Karolcia zsunęła się po poręczy. Po drodze wpadła na jakiegoś chłopca. Był to Leszek. Przystanął ogromnie zdumiony i powiedział grzecznie:

— Przepraszam panią!

— Co ty, Leszek! — chciała powiedzieć Karolcia, ale zaraz przypomniała sobie, że jest dorosła, więc po prostu poszła już spokojnie dalej.

Na podwórzu pełno było dzieci. Dorota i Agasia bawiły się w klasy.

— Dzień dobry! — ukłoniły się grzecznie Karolci.

— Dzień dobry! — odpowiedziała Karolcia, dusząc się ze śmiechu. Przystanąła i nie wiedziała, co robić. A tymczasem Dorota i Agasia grały dalej. Dorota jak zawsze oszukiwała. Nie, tego już było za dużo! Karolcia nie wytrzymała.

— Nie daj się oszukiwać, Agasiu! — krzyknęła. — Dorota wcale nie trafiła do nieba! Sama widziałam!

— Ja nie trafiłam do nieba? Ja, proszę pani? — oburzyła się Dorota.



— Naturalnie, że nie trafiłaś — powtórzyła Karolcia. — Ja ci pokażę, jak skakałaś.

I w tej chwili Karolcia uniosła dwoma rękami spódnicę, aby jej nie przeszkadzała, i zaczęła pokazywać, jak skakała Dorota. I tak była przejęta tym skakaniem na jednej nodze, że nawet nie zauważyła, że gromadzi się wokoło coraz więcej dzieci i dorosłych, którzy przyglądają się jej ze zdumieniem. Naraz usłyszała głos mamy:

— Karolciu! Karolciu!

— Zaraz idę — odpowiedziała Karolcia i przestała skakać. Spojrzała do góry i zobaczyła mamę, wyglądającą przez okno. Zamachała do niej ręką.

— Zaraz wracam, mammo!

Ale mama okropnie się tylko zdenerwowała.

— Proszę pani! Przecież pani słyszy, że wołam moją córeczkę.

Dziewczynki — teraz mama zwróciła się do Doroty i Agasi — czy nie widziałyście Karolci? Nie wiem, co się z nią dzieje!

„Biedna mama, tak się martwi — pomyślała Karolcia. — Muszę koniecznie jak najszybciej odnaleźć koralik i znów stać się małą dziewczynką. Ale jak go odnaleźć! A jeśli się nie znajdzie? Strach pomyśleć, co to będzie!”

To wszystko wydało się Karolci tak smutne, że rozplakała się rzewnie. Łzy spływały jej po policzkach i szlochała głośno. W dodatku była bardzo głodna. Nie zjadła przecież owsianki, a potem nie było czasu na zjedzenie czegoś innego. Warto by wrócić do domu i poprosić o cośkolwiek dojedzenia. Tak, ale jak to zrobić? Przecież mama nie wpuści do domu obcej osoby. Ale co to? Mama wychodzi z domu? Lepiej będzie schować się teraz do sąsiedniej sieni — i tak już nic nie pomoże tłumaczenie, że się jest jej córeczką, Karolcią. Mama pyta teraz dzieci na podwórku, czy nie widziały gdzie Karolci. Aha, a teraz idzie Leszek i mama też go wypytuje.

— Jeśli ją zobaczysz, Leszku, to powiedz, żeby zaraz wracała do domu. Drzwi są zamknięte, ale pewnie zaraz nadejdzie ciotka Agata. Ja już muszę pójść do szpitala.

— Prawda, zaraz przyjdzie ciotka Agata — ucieszyła się Karolcia — może wtedy uda mi się wejść do domu. Ale będę czekać na nią na górze, przy drzwiach.

Rzeczywiście, wkrótce nadeszła ciotka. Zasapana trochę, stanęła, aby wydobyć klucze, gdy Karolcia podeszła do niej.

— Ciociu, ty mnie poznajesz, prawda, ciociu Agato?

— Przepraszam, ale nie wiem, kto pani jest — powiedziała ciotka ku rozpaczycy Karolci.

— Ach, ciociu, przecież ja jestem Karolcia!

— Karolcia? — zdziwiła się ciotka Agata. — Zaraz, zaraz, a co za Karolcia? Bo nie mogę sobie przypomnieć.

Na szczęście ciotka w tej chwili znalazła już klucz i otworzyła drzwi. Wtedy Karolcia, nie mówiąc już nic więcej, dała potężnego susa, o ile na to pozwalały jej wysokie obcasy, i znalazła się w przedpokoju.

— Proszę pani! Co to ma znaczyć! Kto pani jest?! — krzyczała przerażona tym wtargnięciem ciotka Agata.

Ale Karolcia nie odpowiedziała ani słowa, tylko rzuciła się jak mogła najszybciej w stronę łazienki. To tu pod drzwiami stała wtedy, kiedy dokonała się ta przemiana. Tu na pewno musiał upaść błękitny koralik. Szybko, szybko trzeba go znaleźć.

— A pani jest może córką tej mojej cioteczno-stryjecznej siostry, która miała dziesięcioro dzieci? — zaczęła się dopytywać ciotka. Ale naraz spostrzegłszy, że nieznajoma klęczy i szuka czegoś na podłodze — zupełnie zaniemówiła. Po chwili jednak odzyskała głos:

— Czego tu pani szuka, moja pani? Najpierw mówi pani, że jestem jej ciotką, a potem szuka czegoś w obcym mieszkaniu. Wcale mi się to nie podoba!...

— Ja zaraz cioci wszystko wytłumaczę, — jęknęła z rozpaczą Karolcia — zaraz, zaraz...

Rozglądała się nadal po podłodze. Naraz krzyknęła radośnie:

— Jest! Jest!

— Boże święty, a co znów się stało? — zdumiała się teraz ciotka. Ale na to pytanie Karolcia nie dała na razie żadnej odpowiedzi, tylko szybko chwyciła błękitniejący tuż pod ścianą koralik.

— O, chcę znów być małą dziewczynką! — szepnęła.

I w tejże chwili na podłodze w przedpokoju siedziała Karolcia.

Ciotka Agata stanęła jak wryta.

— Karolcia? Co ty robisz na podłodze? Wstań, dziecko, przecież się pobrudzisz, a dopiero co włożyłaś czysty fartuszek. Ale czemu płaczesz?

— Bo, bo ja jestem bardzo głodna! — wyjąkała Karolcia.

I potem dodała:

— I bardzo się cieszę, że jestem mała. Nie chcę być dorosła.

— Dziecinko, co ci przychodzi do tej główki — roztkliwiła się ciotka Agata. — Zaraz, zaraz dam ci coś do jedzenia. Ale co się stało z tą panią, która wepchnęła się do mieszkania? Opowiadała, że jestem jej ciotką czy coś takiego. Jakaś dziwna osoba. Czyżby sobie poszła?

— Poszła już, ciociu! — zapewniała Karolcia.

— To dobrze — ucieszyła się ciotka. — Bo to chyba pomyłona panienka. Ale wiesz co? Mówiła, że się nazywa Karolcia.

Karolcia zaczerwieniła się i nic nie odpowiedziała. Ciotka tymczasem już krzątała się w kuchni.

— A co byś zjadła? Może ugotować ci jajeczko?

— O, tak — ucieszyła się Karolcia. — Dwa jajka i dużo mleka, i dużo chleba z masłem.

— To umyj ręce i zaraz siadaj do stołu.

To była okazja, aby natychmiast pójść do łazienki. Karolcia obejrzała uważnie koralik i ponieważ zdawało się jej, że się znów zabrudził, namydliła go ostrożnie i obmyła wodą.

— Byłabyś mnie zgubiła — szepnęła z wyrzutem koralik.

— Bardzo cię przepraszam — szepnęła Karolcia — to było naprawdę niechcący. Wyobraź sobie, jaka byłam zrozpaczona. Muszę teraz dobrze cię schować, kochany mój koraliczku. — To rzekłszy Karolcia wytarła go starannie i zawinęła w chusteczkę do nosa. Szybko dokończyła mycia rąk i pobiegła do kuchni.

O CIOCIU AGATO!

Przy obiedzie wszyscy w domu — oprócz Karolci — rozmawiali o niezwykłych historiach, które wydarzyły się tego dnia. To znaczy, mama i ciotka Agata opowiadały o tej dziwnej nieznajomej.

— Jakaś nienormalna osoba — denerwowała się jeszcze mama — bałam się, żeby nie zrobiła krzywdy Karolci!

— E, na mnie nie zrobiła wrażenia takiej groźnej — broniła ciotka Agata — a nawet wiesz, co ci powiem, Aniu (bo mama ma na imię Ania) — otóż chwilami wydawała mi się nawet podobna trochę do naszej Karolci. Byłam przekonana, że to jakaś daleka nasza krewna.

— W każdym razie na przyszłość nie należy nie wiadomo kogo wpuszczać do mieszkania — zakończył rozmowę tatuś. I zaproponował mamie, że może pójść do kina.

— Ja dziś chętnie zostanę w domu — oświadczyła ciotka. — Mam masę roboty.

— A Karolcia pójdzie wcześniej spać — zdecydowała mama.

— Uważam, że jest jakaś niewyraźna. Może się zaziębiła?! Czy nie sądzisz, Agatko, że należałoby jej zmierzyć temperaturę?

Ciotka Agata była tego samego zdania. Karolcia wyglądała niewyraźnie. Może to początki odry?

Nic więc nie pomogły zapewnienia Karolci, że czuje się zupełnie dobrze. Zaledwie zatrzasnęły się drzwi za mamą i tatusiem, ciotka Agata posłała łóżko i zaczęła namawiać Karolcię do położenia się. W końcu Karolcia zgodziła się — bo przypomniawszy sobie, że przecież musi pomyśleć o całej masie niezmiernie ważnych rzeczy związanych z błękitnym koralikiem — a jak wiadomo, o rzeczach poważnych zawsze najlepiej myśli się wtedy, kiedy się leży w łóżku. Powiedziała więc:

— Dobrze, ciociu, położę się. Ale małe światło będzie się

długo paliło.

— Oczywiście, że małe światło będzie się długo paliło — skwapliwie przytaknęła ciotka — dopóki nie zaśniesz. A teraz zmierz temperaturę.

Ale temperatury żadnej nie było. Tylko czy można zasnąć, jeśli się ma takie kłopoty z koralikiem?

— Będę ostrożniej wypowiadała swoje życzenia — postanawia Karolcia — bo nie wiem, co może z tego wyniknąć. I chyba trzeba będzie nawlec go na jakąś bardzo mocną nitkę. Może najlepiej na jedwabną, różową. Jest taka w maminy koszyczku z przyborami do szycia. Tak, ta różowa nitka będzie doskonała. Mama kiedyś mówiła, że trudno ją zerwać. I przy tym można będzie nosić ją na szyi, pod sukienką. Ale to tak, żeby nikt nie zauważył. Bo dopiero zacznie się dopytywanie: A co to? A po co to?

Karolcia wydobyla z chusteczki koralik i położyła go na dłoni, żeby mu się dobrze przyjrzeć jeszcze raz.

— Nie śpisz, Karolciu? — zajrzała naraz przez drzwi ciotka Agata.

— Nie, ciociu, jeszcze nie jestem śpiąca.

— A może byś coś zjadła?

Bo ciotka Agata zawsze uważa, że jedzenie jest najlepszym środkiem na wszystkie choroby i na zmęczenie, i nawet na wszystkie kłopoty.

— Nie, ciociu, nie, dziękuję — broni się Karolcia.

— A może ci usmażyć omlecek?

— Nie, nie.

— A pokaż rękę, bo zdaje mi się, że jednak jesteś jakaś rozpalona. Cóż ty znowu masz tutaj? Aha, to jest, zdaje się, guziczek od twojej bluzeczki, zaraz ci go przyszyję, tylko przyniosę okulary.

— Kiedy to nie jest guziczek! — krzyknęła z przerażeniem Karolcia. — Niech ciocia go nie przyszywa!

— A mnie się zdaje, że to guziczek! — upierała się ciotka Agata, obracając w palcach koralik. — Że też ja nigdy nie pamiętam o tych moich okularach! I zawsze je gdzieś zostawię. Żebym je miała na nosie, tobym zaraz zobaczyła, co to jest...



Ledwie ciotka wypowiedziała te słowa — okulary cicho przyfrunęły z sąsiedniego pokoju i usadowiły się na jej nosie.

— No, patrzcie — zdziwiła się ciotka Agata — a przecież je mam! Że też ich nie zauważyłam! Niech no ja się teraz przyjrzę, co to jest właściwie... Rzeczywiście! Miałaś rację! To wcale nie jest guziczek, tylko jakiś koralik. Nawet dość ładny. Tylko co komu po jednym koraliku? Ale słuchaj, Karolciu, powiedz tak naprawdę, a może byś coś zjadła? Nie? E, tylko tak mówisz, a na pewno zjadłabyś tak na przykład, no co?! No, powiedzmy, ciastko z kremem. Co?

— Nie, nie — zaprzeczyła gwałtownie Karolcia — ale oddaj mi już, ciociu, ten mój koralik.

— Zaraz! Zaraz — ciotka obracała dalej koralik w palcach i mówiła teraz z rozmarzeniem — bo ja, przyznam ci się, chętnie bym zjadła ciastko z kremem. Nawet nie jedno. Przyznam ci się, że nawet więcej. Mogłabym zjeść całą tacę ciastek.

— Ach! Nie mów tego ciociu! — chciała krzyknąć Karolcia. Ale było już za późno.

Wokoło — na stoliku, na krześle, na półce z książkami, ba, nawet na oknie stały tace pełne ciastek z kremem. Co gorsza, przybywało ich coraz więcej.

— Karolciu — zawołała ze zdumieniem ciotka Agata — czyżby

ktoś przysłał nam tyle ciastek? A może to są dziś moje imieniny, tylko ja o tym zapomniałam? Ach! Jakie pyszne ciastka! Spróbuj!

— Wcale nie spróbuję! — wrzasnęła niezupełnie grzecznie Karolcia. Ale zaraz poprawiła się: — To znaczy, bardzo dziękuję!

Zerwała się szybko z łóżka i błyskawicznie pochwyciła porzucony przez ciotkę na stoliku koralik. Tace z ciastkami napływały dalej.

„Kiedyś przecież skończą się te ciastka — myślała Karolcia. — Właściwie szkoda, że nie ma dziś u nas gości”.

Wtem jak na zamówienie ktoś zadzwonił. Karolcia zdrętwiała. No tak, oczywiście nieopatrznie pomyślała o tych gościach, i już są.

— Pójdę otworzyć — powiedziała ciotka, skacząc między tacami pełnymi ciastek. Jak się okazało, dzwonił listonosz.

— Dobry wieczór — powiedział — przechodziłem akurat w pobliżu i tak sobie pomyślałem — dlaczego nie miałbym państwa odwiedzić. No i odwiedziłem.

— Proszę bardzo — zapraszała gościnnie ciotka Agata — dobrze, że pan przyszedł, mamy dziś pyszne ciastka.

Listonosz jadł ciastka bardzo szybko i co chwila jak kot oblizywał swoje długie i sumiaste wąsy, ale ciastek nie ubywało.

„Co to będzie — myślała z trwogą Karolcia — jeśli on sam nie zje tych ciastek”.

Ale za chwilę znów rozległ się dzwonek i weszli jacyś państwo z oficyny z trojgiem dzieci.

— Przyszliśmy z wizytą — powiedzieli i od razu zabrali się do jedzenia.

— Proszę, niech państwo pozwolą — zapraszała gościnnie ciotka. — Co prawda ja państwa jeszcze nie znam, ale to nic nie szkodzi.

Wtem znów ktoś zadzwonił. Była to jakaś pani w kapeluszu i z parasolem.

— Dzień dobry — powiedziała, choć to był już wieczór — czy nie przeszkadzam?

— Skądże znowu — odpowiedziała ciotka Agata, przy czym o mało co nie udławiła się, bo ciągle sama też jadła te ciastka. — Może pani spróbuje? Zdaje się, że dziś są moje imieniny.

— Dziękuję — kiwnęła głową pani w kapeluszu i z parasolem. I niby to jadła ciastka, ale jednocześnie rozglądała się po pokoju.

— Czy pani czegoś szuka? — spytała ciotka Agata.

— Nie, to znaczy tak — zaczęła plątać się nieznajoma. — Zgubiłam drobiazg, który właściwie nikomu i na nic nie jest potrzebny. Czy pani czasem go nie widziała? Taki nieduży niebieski koralik...

— Czy to ten? — spytała ciotka oblizując się i wzięła do ręki koralik, który Karolcia na chwilę położyła na swojej kołdrze.

— Tak! To ten! — wrzasnęła radośnie nieznajoma.

I Karolcia dopiero teraz spostrzegła, że jest ona niezmiernie podobna do tej-sprzedającej z działu zabawek w domu towarowym. Tak, ależ tak, ma taki sam długi, spiczasty nos! Tak! Nie ulega najmniejszej wątpliwości! To jest Filomena!

I Karolcia błyskawicznie w ostatniej chwili zdołała wyrwać koralik z ręki ciotki Agaty.

— To mój koralik — zasyczała Filomena (bowiem już nie ulegało wątpliwości, że to ona była). I wyciągając szponiaste palce powiedziała groźnie: — Oddaj mi natychmiast!

Ale zanim zdołała go odebrać — Karolcia wypowiedziała w myśli życzenie, aby ciastka, goście i Filomena zniknęli jak najszybciej z jej pokoju, a ciotka Agata o wszystkim zapomniała. Zostało ono zresztą błyskawicznie spełnione. W pokoju paliła się niewielka lampka z abażurem — zwana przez Karolcię małym światłem, a w fotelu przy łóżku drzemała ciotka Agata, która zbudziła się po chwili, mrużąc:

— Ależ miałam śmieszny sen: śniły mi się ciastka z kremem. Było ich bardzo dużo. No, ale już śpij, Karolciu! Już pora.

AUTOBUS I INNE RZECZY

Kiedy nazajutrz Karolcia obudziła się, było już bardzo późno. Tatuś dawno poszedł do pracy, a mama szykowała się właśnie do wyjścia.

— No co, Karolciu? Nie boli cię głowa? — dopytywała się troskliwie. — Wczoraj wyglądałaś mi tak, jakby coś ci dolegało.

— Ale jestem naprawdę zupełnie zdrowa — zapewniała Karolcia. — A czy będę mogła zejść na podwórze?

— Tylko wtedy, kiedy przestanie padać. Widzisz przecież, że jest mokro na świecie.

Rzeczywiście, znów padał deszcz. Krople ściekały po szybach.

— No, to co ja będę dziś robiła przez cały dzień w domu? — westchnęła Karolcia.

— No trudno, zajmij się czymś, Karolciu — powiedziała mama — za tydzień wyjedziemy na wieś. Ale wiesz, że musimy jeszcze poczekać, aż dostanę urlop. Może poczytasz albo może kto przyjdzie do ciebie pobawić się? Ale ja już muszę się śpieszyć. Żeby tylko autobus nie był zbyt zatłoczony... Nie lubię w czasie deszczu moknąć na przystanku.

Karolcia kiwa ze zrozumieniem głową. I postanawia, że poprosi koralik o pusty: autobus dla mamy. A koralik jest zawieszony na jedwabnej, mocnej nitce na Karolcinej szyi.

Wtem słysząc dzwonek przy drzwiach. To Piotr, ten z góry, przyszedł zapytać, czy mogą dziś bawić się razem.

— Naturalnie, że możecie — zgodziła się od razu mama. — Tylko nie przewróćcie całego mieszkania do góry nogami. Zwłaszcza kiedy ciotka Agata wyjdzie po zakupy.

— E, nie, nie przewrócimy — zapewniają wobec tego Piotr i Karolcia, a mama mówi „do widzenia” — i szybko zbiega ze schodów, bo już późno.

— Chodź! Zobaczmy, czy mama wsiadła! — woła Karolcia do Piotra i pociąga go w stronę okna.



Na przystanku autobusowym stoi już tłum ludzi z parasolami. Właśnie nadjeżdża autobus i wszyscy ogromnie się pchają. No, naturalnie, mama nie wsiadła, bo ją odepchnęli. I stoi teraz biedulka, i moknie. Ale Karolcia uśmiecha się — mama na pewno zaraz wsiądzie, wystarczy przecież dotknąć koralika i wyszeptać życzenie.

I oto w tejże samej chwili na przystanek zajżdża pusty, zupełnie nowy, piękny, czerwony autobus. A mama jest pierwsza w kolejce i wsiada spokojnie i wygodnie. I sadowi się na najlepszym miejscu, przy oknie. Karolcia widzi to doskonale. A teraz już zaczyna się pchać cały tłum ludzi, którzy nadbiegli. O, jakaś staruszka usiłuje wsiąść, ale wstrętne, duże chłopaczysko odpychają.

— Oj! Dałbym mu nauczkę, gdybym tak w tej chwili był na dole! — odgraża się Piotr.

— Ja też chciałabym być na dole i dać mu porządną nauczkę! — krzyknęła z zapalem, lecz niebacznie Karolcia.

W tejże chwili okno otworzyło się i Karolcia, ku niepomniernemu zdumieniu Piotra, uniosła się w powietrze, a następnie spłynęła na ulicę i znalazła się na przystanku autobusowym obok tego wstrętnego chłopaka. Teraz wszyscy na ulicy ze zdumieniem patrzyli, jak mała dziewczynka, uczesana w kitkę, podskoczyła do góry i trzasnęła dryblasą piąstką w nos, aż się przewrócił, pó czym szybko zaczęła uciekać.

— Ratunku! — darł się dryblas, trzymając się za nos, a Karolcia znów podskoczyła i uniosła się w powietrze, aby za chwilę znaleźć się w pokoju.

Piotr stał przy oknie z ustami otwartymi ze zdumienia. Potem przetarł szybko oczy rękami — bo mu się zdawało, że chyba to wszystko to tylko sen.

— Rozłożyłaś tego drąga jak należy — powiedział z uznaniem. — Tylko, zaraz, ja tego nie mogę zrozumieć, jakim sposobem znalazłaś się tam na dole i wróciłaś. Najwyraźniej widziałem, że fruwasz. A przecież człowiek nie może fruwać. Musiało mi się to po prostu śnić!

— Wcale ci się nie śniło.

— Jak to? E, nie wmówisz przecież we mnie, że naprawdę fruwałaś. Przecież to niemożliwe.

— A dlaczego nie miałabym fruwać? — oburzyła się Karolcia.

— Mogę robić, jeśli zechcę, różne rzeczy. Nie wierzysz?

W tej chwili weszła do pokoju ciotka Agata.

— Wychodzę na chwilę do miasta — powiedziała. — Bądźcie przez ten czas grzeczni i nie otwierajcie nikomu drzwi. Ja mam klucze.

Ledwie zamknęły się drzwi za ciotką Agatą, Karolcia powtórzyła:

— Nie wierzysz? Mogę zrobić, co tylko mi się spodoba.

— Ee tam — mruknął powątpiewająco Piotr — tak tylko opowiadasz!

— Co? Ja opowiadam? Może chcesz się założyć?

— Pewnie, że mogę się założyć! Nawet o mój znaczek z Australii.

— E, co mi tam znaczek z Australii — Karolcia uważała, że teraz może założyć się o nie wiem co. — Jak przegrasz, dasz mi

swój globus.

Ba, globus! Globus był największym skarbem Piotra i tak za byle co, lekkomyślnie, nie chciałby go oddać.

— Globus — powtórzył ze zgrozą. — O globus mógłbym się założyć, gdybyś na przykład potrafiła...

Tu Piotr zatrzymał się na chwilę, żeby wymyślić coś niezmiernie trudnego, coś, co właściwie byłoby niemożliwe do zrobienia.

— No, na przykład, czy potrafiłabyś...

— Ojej, powiedziałam, że wszystko potrafię — zawołała uniesiona pychą Karolcia, nie pamiętając już zupełnie o tym, że obiecywała sobie ostrożnie wypowiadać życzenia, które miała spełnić koralik. Korciło ją ogromnie, żeby zadziwić Piotra.

A Piotr tymczasem namyślał się. Stał ze zmarszczonym czołem i powtarzał:

— No, na przykład, czy potrafiłabyś, czy potrafiłabyś...

— Mów prędzej, co się tak namyślasz — niecierpliwiła się Karolcia.

— Taaaak?! — zdenerwował się teraz z kolei Piotr. — Taka jesteś ważna? A na pewno nie potrafisz stać się... niewidzialna!

— Niewidzialna? — Karolcia wzruszyła ramionami. — Przecież to drobnostka dla mnie. Zaraz mogę to zrobić.

— E, śmieszna jesteś z tymi przechwałkami. Myślisz, że ci uwierzę? — szydził Piotr.

— Tak? No, to zaraz zobaczysz!

I w jednej chwili Karolcia stała się przezroczysta jak szkło. Tylko wiszący na jej szyi koralik jaśniał jak błękitny kwiatek unoszący się w powietrzu.

A Piotr? Warto było zobaczyć jego zdumioną minę! A potem zaczął wołać:

— E, ty się tylko tak schowałaś!

— Wcale się nie schowałam — odezwał się tuż obok głos Karolci i Piotr poczuł, że go ktoś ciągnie za sweter.

— Przestań — krzyknął — cóż to za niemądre żarty! Powiedz lepiej, gdzie jesteś!

— Atu! — zawołała Karolcia. — Goń mnie!

— Jakże mogę cię gonić, kiedy nie wiem, gdzie jesteś.

— A tu jestem! — Karolcia dotknęła ręki Piotra. Aż podskoczył, tak się przestraszył.

— Aha! — cieszyła się teraz Karolcia. — Wygrałam od ciebie globus, wygrałam!

— Dosyc tego! — wołał teraz Piotr. — Powiedz, gdzie się schowałaś?

— Wierzysz więc, że jestem niewidzialna?

— Wcale nie wierzę! Uwierzę dopiero wtedy, jak stanie się coś bardzo dziwnego.

— Cóż więc chcesz, żeby się stało?

— Jeśli naprawdę jesteś niewidzialna, Karolciu, to czy na przykład potrafiłabyś podnieść do góry krzesło, mimo że ciebie nie widać?

Karolcia roześmiała się.

— Oczywiście! Proszę bardzo!

W tej chwili krzesło uniosło się jakby samo do góry, towarzyszyło temu jednak lekkie postękiwanie niewidzialnej Karolci, gdyż było to krzesło naprawdę ciężkie.

Tak! Teraz wreszcie Piotr uwierzył w jej niewidzialność. Stał z otwartymi ustami, zagapiony.

— Czy jeszcze mam coś zrobić? — zabrzmiał uprzejmy głosik Karolci.

— Tak, to jest nie... to znaczy... Karolciu — zawołał naraz Piotr — a czy ja też mógłbym być niewidzialny?

— Ty niewidzialny? — głos Karolci był teraz niepewny, wahający się. — Samą nie wiem...

— Ach, błagam cię! Zrób to — prosił Piotr. — Pomyśl, jak moglibyśmy we dwójkę pysznie się bawić, gdybyśmy tak oboje byli niewidzialni...

Tak, to rzeczywiście mogłaby być pyszna zabawa.

Ale czy się uda? Czy życzenie będzie ważne i wobec Piotra?

Należy jednak spróbować.

— Uwaga! Może zaraz staniesz się niewidzialny! Czy już jesteś niewidzialny? Bo już powinienes być, a ja jeszcze ciebie widzę!

— Ja ciebie też teraz widzę! — powiedział Piotr.

— Jak to: mnie widzisz, kiedy ja jeszcze jestem niewidzialna?

— zdumiała się Karolcia.

— Ale ja ciebie na pewno widzę — zapewniał Piotr. I wyciągnął rękę, aby dotknąć jej ramienia.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła ciotka Agata.

— Karolciu! — zawołała, stając na progu.

— Słucham, ciociu — odpowiedziała Karolcia — czy możesz mnie i Piotrowi dać coś do zjedzenia?

— Oczywiście, że mogę, ale przestańcie się chować i zaraz przyjdźcie do kuchni, to sobie zabierzecie kanapki z szynką.

— Dobrze, dziękujemy, ciociu.

— Ale już lepiej wyjdźcie z tej kryjówki i umyćcie ręce przed jedzeniem a ja tymczasem otworzę tu okno. Deszcz już przestał padać.

To mówiąc, ciotka Agata ruszyła w stronę okna. Szła prosto na Karolcię, tak jakby Karolcia tam wcale nie stała. Ba, nawet o mało co nie przewróciła się przez wysuniętą Karolciną nogę.

— Przysięgłabym, że tu coś leży na podłodze — mruknęła i bacznie spojrzała na posadzkę. Nic jednak tam widać nie dostrzegła, bo ruszyła dalej, potrącając po drodze niewidzialnego Piotra.

Byłaby właściwie wpadła na niego, gdyby się w porę nie usunął. Potem ciotka Agata zawołała jeszcze:

— Wiem na pewno, że schowaliście się za tapczanem. Ale już przestańcie z tym chowaniem się.

I wyszła z pokoju.

— Hura! — zawołał wtedy Piotr, podskakując z zachwyty. — Hura! Jednak jesteśmy niewidzialni!

— Czy jesteś tego pewien? — spytała Karolcia.

— Ależ oczywiście. Przecież sama się przekonałaś, że twoja ciotka była najpewniejsza, że ukryliśmy się gdzieś, wtedy gdyśmy stali tuż prawie obok niej. I nawet o mało by cię nie rozdeptała!

— Prawda — szepnęła Karolcia — ale dlaczego ja widzę ciebie, a ty widzisz mnie?

— Bo prawdopodobnie niewidzialni ludzie widzą siebie nawzajem — powiedział Piotr. — Ale możemy się przecież

przekonać, czy jesteśmy niewidzialni, czy nie.

— Prawda — ucieszyła się Karolcia. — Musimy spróbować, czy nas kto zobaczy. To będzie najpewniejszy dowód.

— Najlepiej będzie, jeśli zejdziemy na podwórze — zaproponował Piotr.

— To dobry pomysł — przytaknęła szczęśliwa właścicielka niebieskiego koralika. — Tylko przedtem musimy zajrzeć do kuchni. Ciotka Agata czeka na nas z drugim śniadaniem.

HURA! NIEWIDZIALNI! HURA! LATAMY!

Ciotka Agata nalała mleko do kubeczków.

Bułki z masłem i szynką leżały na talerzykach, kiedy naraz przypomniała sobie, że powinna zabrać z balkonu suszące się tam ście-reczki. Kiedy wróciła do kuchni, aż usiadła ze zdumienia, a potem szybko zimną wodą przemyła sobie oczy.

— Sen mnie zmorzył czy co? Zdawało mi się, że już zrobiłam kanapki — mruknęła. W przedpokoju rozległ się jakby tupot małych stóp i dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi.

— No widzisz, jednak, jak się zdaje, obydwójce jesteście na dobre niewidzialni — szepnął radośnie Piotr.

— Poczekaj, lepiej jeszcze się upewnić — zabrzmiał szept Karolci. — Uwaga, ktoś idzie!

Rzeczywiście z góry schodziła sąsiadka, pani Kowalska.

— Dzień dobry! — powiedzieli Piotr i Karolcia grzecznie.

— Dzień dobry! — odpowiedziała niepewnie pani Kowalska i rozejrzała się wokoło. Piotr miauknął wobec tego cichutko. Pani Kowalska znów się obejrzała, a potem zaczęła wołać: „kici, kici”. Bo widać myślała, że jej kot idzie za nią po schodach. A Piotra i Karolci wcale a wcale nie widziała, chociaż stali tuż przy niej.

Zadowoleni zbiegli co prędzej na podwórze.

Deszcz przestał nareszcie padać i tylko gdzieniegdzie pozostały spore kałuże. A kałuże — wiadomo — wspaniała fczecz. Zwłaszcza młodsze dzieci lubią chłapać się w nich i puszczać papierowe łódeczki. Więc i teraz Agasia i dwoje jeszcze młodszych dzieci przykucnęło nad małym jeziorkiem i zabierało się do budowy tamy, kiedy naraz z sąsiedniego bloku wypadł Waldek. Podbiegł do kałuży i zaraz zaczął ochlapywać dzieciarnię. Piotr i Karolcia spojrzeli na siebie — była to nareszcie prawdziwa okazja, żeby dać porządną nauczkę temu Waldkowi, który każdego bił i nikomu nie dał przejść

spokojnie. I teraz też — patrzcie tylko, pchnął tak Agasię, że wpadła do kałuży! Za Agasią wepchnął do wody Janię.

Pobiegli więc szybko w stronę Waldka. Bardzo to śmiesznie wyglądało, kiedy duży Waldek klapnął naraz w sam środek błota jak żaba! To Piotr, niewidzialny Piotr popchnął go z całej siły.

— Kto mnie pchnął?! — ryknął rozzłoszczony Waldek. I obejrzał się — ale nikogo za sobą nie zobaczył. Ale za chwilę znów rymsnął w błoto — to niewidzialna Karolcia chwyciła go za nogę, tak że stracił równowagę. A wszyscy naokoło stali i aż się trzymali za boki ze śmiechu. I nikt tego Waldka nie żałował, tylko wszyscy mówili, że dobrze mu tak za to, że taki dla wszystkich jest niedobry!

No, to z Waldkiem byłoby załatwione! A co dalej robić?!... Piotr i Karolcia spojrzeli na siebie. Hm! Roboty znalazłoby się dosyć. Oto idzie na przykład miła pani Kozłowska z drugiego bloku i dźwiga ciężki kosz ze sprawunkami. Piotr zawsze jej pomaga zanieść kosz na górę. Czy przez to, że jest w tej chwili niewidzialny, pani Kozłowska ma sama nieść to wszystko na górę?

— Niemożliwe — mówi szeptem Piotr do Karolci i zaraz podbiega do pani Kozłowskiej. Ujmuje za pałąk kosza i niesie. A pani Kozłowska strasznie się cieszy, że kosz taki lekki, i nawet tak mówi do jakiejś sąsiadki: „Tak się dobrze dzisiaj czuję, proszę pani, jakbym miała znów ze dwadzieścia lat. Wczoraj to ten kosz taki wydawał mi się ciężki, a dziś — jakbym piórko niosła. Tak mi siły wróciły! Pewnie po tych ziółkach, które piję”.

Sąsiadka nadziwić się temu nie może, ale zaraz przestaje rozmawiać z panią Kozłowską, tylko gapi się na drugi koniec podwórka i napatrzeć się nie może, co się tam dzieje. Aż oczy przeciera — bo patrzcie, ludzie: hulajnoga sama jedzie po chodniku między trawnikami!

Oczywiście łatwo się można domyślić, że to Karolcia pędzi na hulajnodze pozostawionej przy ławeczce przez Dorotę.

— Rety!

A Dorota też stanęła, jakby w kamień zamieniona, usta

otworzyła i nie wie, co powiedzieć, bo naraz Leszek, który akurat wybiegł na podwórze, zaczął wołać:

— Patrz, Dorota, nawet hulajnoga od ciebie ucieka!

A znów jedna dziewczynka zaśmiała się:

— Jak ją grzecznie poprosisz, to może do ciebie wróci.

I w tej chwili, jakby na zawołanie, hulajnoga zawróciła i zaczęła pędzić w stronę Doroty! To dopiero było! Dorota najpierw stała, jakby oczom nie wierzyła, a potem zaczęła uciekać. Naprawdę!

I wtedy to wyglądało tak, jakby ją hulajnoga rzeczywiście goniła.

Ale w końcu znudziła się ta zabawa Karolci i zaczęli się z Piotrem namyślać, co by teraz zrobić.

Wreszcie Piotr zaproponował:

— Wiesz co? Chodźmy do tego wielkiego domu towarowego. Tam się trochę pobawimy!

— Świetnie — zgodziła się Karolcia. — Ale co będzie, jeśli ciocia zobaczy przez okno, że mnie nie ma na podwórzu?

— Ha, właśnie, to samo będzie i z moją mamą. Naturalnie że zaraz będzie się okropnie martwiła, gdzie się podziałem! Zaraz, zaraz, co by zrobić wobec tego? Słuchaj! Już wiem! Napiszemy listy — ty do ciotki Agaty, a ja do mojej mamy. Będą spokojne, a my też będziemy w porządku!

Drzwi w mieszkaniu Karolci były zamknięte. Ale list udało im się wsunąć przez szparę.

Kochana ciociu Agato. Idę się troszkę pobawić z Piotrem. Nie martw się o mnie. Twoja kochająca Karolcia.

Do mieszkania Piotra było łatwiej się dostać. Za to zdarzyła się tam zupełnie inna historia. Bo oto, gdy już list był napisany, nagle rozległo się trzaśnięcie drzwi i zgrzyt klucza w zamku. To mama wyszła, prawdopodobnie do dentystki.

— Jesteśmy zamknięci! — zawołał rozpaczliwie Piotr. — Wiem doskonale, że mama będzie tam co najmniej dwie godziny. Wszystko przepadło!

— Dlaczego? — zdziwiła się Karolcia. — Przecież możemy wyjść i sami zatrzasać drzwi.

— Kiedy ich nie można w ogóle otworzyć, jeśli mama zabrała

klucz. Chodź, sama się przekonasz.

Tak, drzwi były zamknięte, a mama zabrała klucz. Piotr był bliski łez. Naraz Karolcia roześmiała się.

— Ojej, Piotr! Nie ma się czym przejmować.

— Jak to: nie ma! — wrzasnął Piotr.

Karolcia spojrzała na niego dumnie.

— Zapominasz zupełnie o... tym!

I Karolcia ujęła w swoje dwa niewidzialne palce wiszący na jedwabnej, różowej nitce — błękitny koralik!

— To co zrobimy? — zapytał teraz Piotr zachwyconym szeptem. — Jak wyjdziemy stąd? Czy dałoby się — tu zawahał się — czy dałoby się wyfrunąć przez okno?

— Czemu nie? Naturalnie że możemy. Albo też od razu znaleźć się w sklepie?! Jak wolisz?

— Lepiej wyfrunąć przez okno — zdecydował Piotr — a potem żebyśmy od razu byli w sklepie. Bo w ten sposób będzie okropnie śmiesznie.

— Niech tak będzie — kiwnęła głową Karolcia i znowu ujęła w palce niebieski koralik, aby wyrazić odpowiednie życzenie. Natychmiast też okno otworzyło się i Karolcia razem z Piotrem wyfrunęli. Unosili się teraz lekko nad ulicą, ale ponieważ bali



się, że lada podmuch wiatru może ich rozdzielić, więc schwycili się za ręce.

Spojrzeni w dół i zobaczyli z ogromnym zdumieniem, że nad ulicami rozpościera się jak gdyby sieć z drutów. Istna pajęczyna.

— To przewody elektryczne linii tramwajowych i trolejbusowych — objaśnił Piotr z niejakim zadowoleniem, że zna się na takich rzeczach. — Musimy uważać, żeby o nie nie zawadzić.

— Jak cudownie tak płynąć w powietrzu! — zachwycała się Karolcia. — Patrz! Możemy zaglądać do okien wszystkich domów.

To było naprawdę strasznie śmieszne! Można było zapukać w szybę albo niespodziewanie powiedzieć coś do kogoś. Tak właśnie zdarzyło się, kiedy mijali pewną wysoką kamienicę. W mieszkaniu na trzecim piętrze jakiś malec wyglądał przez okno i tak się wychylał, że naprawdę mógł wypaść. Karolcia zdenerwowała się tym ogromnie.

— On sobie może coś złego zrobić, on na pewno wyleci! — denerwowała się. — Widać został sam w domu i taki z niego głuptas, że nawet nie wie, na co się naraża.

— Zaraz mu damy nauczkę — zdecydował Piotr.

Zatrzymali się więc teraz przy tym oknie i wpłynęli do mieszkania. Wspólnymi siłami ściągnęli malca z okna, a Piotr powiedział możliwie grubym głosem:

— Nie wolno wchodzić na okno! Rozumiesz?

— Ro... rozumiem — odpowiedział malec rozglądając się niepewnie wokoło.

— Bo dam ci w skórę, jeśli nie posłuchasz — groził dalej Piotr.

— Nie strasz dziecka! Nie pozwolę ci, abyś miał go zbić! — szeptem broniła malucha Karolcia.

— Kiedy ja tylko tak! Na postrach! — uspokoił ją Piotr. — Teraz możemy go zostawić i pofruniemy dalej.

Znów więc lekko płynęli nad miastem. Przysiadali dla zabawy na chwilę na dachach lub na balkonach i unosząc się znowu w powietrze gonili się naokoło wszystkich kominów fabrycznych. Było to jednak niebezpieczne, gdyż od czasu do czasu wiał dość silny wiatr, który mógł ich łatwo rozdzielić, tak bowiem stali się

zwiewni. W pewnej zaś chwili, zupełnie niespodziewanie, Piotr zorientował się, że leci samotnie. Obejrzał się — gdzie jest Karolcia? Co się z nią stało?

Dopiero po chwili spostrzegł ją, zaczepioną brzegiem sukienki o jakąś antenę telewizyjną. Trzeba więc było koniecznie natychmiast zawrócić, aby ratować przyjaciółkę. Nie było to wcale łatwe! Wiatr znosił Piotra ciągle w bok i ani rusz nie mógł skierować się w stronę wzywającej pomocy Karolci. Już zdawało się, że sprawa jest zupełnie beznadziejna, gdy nagle i zupełnie nieoczekiwanie zjawiała się pomoc ze strony dwóch sympatycznych gawronów, które widząc całą historię, pośpieszyły na ratunek. Parę uderzeń mocnymi dziobami i oto sukienka już się odczepiła.

— Czy wy nas widzicie? — zdziwiła się Karolcia.

— Oczywiście — oświadczyły zgodnie gawrony.

— A przecież my jesteśmy niewidzialni!

— Ale jesteście niewidzialni tylko dla ludzi! Wiemy poza tym, że masz niebieski koralik, Karolciu, tylko pamiętaj, że nie należy używać go zbyt lekkomyślnie.

— Co chcieliście przez to powiedzieć? — zawołała Karolcia, ale gawrony już odleciały, a ją wiatr szczęśliwie zaniósł w stronę Piotra.

Chwycili się znów za ręce i teraz już frunęli prosto do domu towarowego, który był widoczny z daleka.

Wylądowali na tarasie, gdzie była urządzona kawiarnia.

— Ach! Jakież mam pragnienie — oświadczyła Karolcia na widok osób pijących przez słomiane rurki wodę sodową oraz oranżadę z wysokich kieliszków.

— Służę ci — powiedział elegancko Piotr — mam właśnie jeszcze trochę pieniędzy z moich oszczędności i mogę cię zaprosić!

— Ale wiesz? — rozmyśliła się Karolcia. — Właściwie to wolałabym lody! Owocowe i śmietankowe.

— Ja też — przyznał się Piotr. — Wobec tego może zajmiemy miejsce przy stoliku?

— No dobrze — Karolcia przysiadła na jednym z kolorowych krzesełek — ale jak zamówimy lody, kiedy jesteśmy

niewidzialni? Czy myślisz, że musimy znów stać się widzialni?

— Trzeba się nad tym zastanowić. To poważna sprawa, bo naprawdę nie wiem, co byłoby lepsze.

— Ach! A tymczasem zobaczymy, jakie te lody są. Czy są owocowe albo śmietankowe? A może będą pistacjowe?

Zbliżyli się do dużego bufetu, który był zarazem lodówką, i przyglądali się, jak panienska w białym fartuszkach nakłada porcje lodów, czerpiąc je z dużych termosów, umieszczonych w bufecie-lodówce. Ach! Były i lody pistacjowe!

— No to co zrobimy? — zastanawiał się tymczasem Piotr.

— E, wiesz co? Lepiej już zostanmy niewidzialni, mniej będzie kłopotu — zdecydowała Karolcia.

— Dobra! — zgodził się Piotr. — Wobec tego zrobimy tak: złapiemy szybko po porcji lodów, które szykuje panienska, a zapłacimy w ten sposób, że pieniądze położymy na bufecie.

Transakcja udała się jak najlepiej. Lody były wspaniałe i pokrzepiające. Toteż po ich spożyciu można już było śmiało ruszyć na wielką wyprawę do wnętrza domu towarowego.

— Idziemy! — zakomenderował Piotr.



LEPSZE I GORSZE POMYSŁY

W domu towarowym panował oczywiście jak zawsze ogromny tłok. Ruchome schody zapchane były ludźmi i wcale nie łatwo było na nie się dostać.

— Nie możemy się wcisnąć, bo jeśli jesteśmy niewidzialni, to nas mogą niechcący zadusić — rozsądnie zauważył Piotr — co wobec tego zrobimy? Może poprosisz, żebyśmy od razu znaleźli się w dziale zabawek.

— Co ty, Piotrek? — oburzyła się Karolcia. — Nie mogę przecież prosić o takie nie najważniejsze rzeczy. Jeszcze się pogniewa. Chodźmy do zabawek!

— Ojej, jaka ty jesteś dziecinna. Chodź, najpierw obejrzymy sobie jeszcze inne działy.

Zatrzymali się więc na chwilę na następnym piętrze przy stoisku z butami. Tu, mimo że ludzie stali spokojnie, sprzedająca widać była w niezbyt dobrym humorze, bo niegrzecznie rzucała na ladę pudełka z butami i nikomu nie chciała podać innej pary, jeśli jakieś buty były za ciasne albo za luźne. Właśnie kiedy Piotr z Karolcią podeszli do stoiska, jakaś pani z małą dziewczynką na próżno prosiła o zamianę za ciasnych butów, które kupiła dla swojej córeczki.

— Nie zamienia się! — niegrzecznie odpowiadała na jej prośby sprzedająca.

— Mnie się zdaje, że ta pani, która sprzedaje, nie jest bardzo uprzejma — zauważyła Karolcia.

— Pewnie, że nie jest uprzejma — zgodził się Piotr. — Wiesz? Postraszymy ją trochę, może się potem poprawi.

— Ale jak ją postraszymy? — spytała Karolcia, której ten pomysł wydał się zupełnie niezły.

— Zaraz zobaczysz. Tylko rób to samo co ja! — I Piotr szybko schwycił z półki parę męskich butów, które włożył sobie na ręce. Karolcia zaraz też chwyciła jakąś parę czerwonych

sandałków i ku szalonemu zdumieniu i przerażeniu ekspedientki — dwie pary butów samodzielnie pomaszerowały wzdłuż lady.

— Aaaaach! Aaaaach! — zdenerwowała się sprzedająca. — Co to znaczy?

Nikt na to nie odpowiedział, bo wszyscy patrzyli teraz z zaciekawieniem, co będzie dalej.

— To reklama! — zawołał ktoś.

A tymczasem męskie buty i czerwone sandały tańczyły teraz przytupując wesoło. „Hop sa! sa! Hop! sa sa!” Tak się to wszystkim spodobało, że zaczęli do taktu przyśpiewywać. I tak się wszyscy rozbawili, i tak się wszyscy z tego tańca śmiali, że w końcu nawet zaczęła śmiać się razem ze wszystkimi i ta niegrzeczna sprzedawczyni.

Naraz buty przystały. Czerwone sandały też się zatrzymały i wszyscy ze zdumieniem usłyszeli dwa dziecinne głosy, które powiedziały głośno i wyraźnie:

— Żądamy, aby sprzedająca była grzeczna dla kupujących!

To dopiero było! Sprzedająca zaczerwieniła się jak burak i rzuciła się w stronę butków, ale one tymczasem już zwinnie wróciły na swoje miejsce na półce. Tylko ludzie stojący przy ladzie powtórzyli: „Tak, tak, racja — prosimy, żeby pani była grzeczna dla kupujących”. A inni znów mówili, że to dobry pomysł reklamy i że to było mówione przez głośnik.

Oczywiście, że teraz sprzedająca już nie mogła się złościć i musiała być bardzo grzeczna. Bała się, żeby się nie powtórzyła historia ze spacerującymi butami.

Tymczasem zaś Piotr i Karolcia powędrowali dalej. Stoisko z zabawkami było na samym końcu, musieli więc przejść wzdłuż wielu jeszcze innych stoisk z różnymi rzeczami. Przy jednym z nich zatrzymali się na chwilę — były tam piękne szale, rękawiczki i chusteczki — takie do noszenia na głowie i takie do nosa.

— Poczekaj chwileczkę — poprosiła Karolcia. — Tylko obejrż te chusteczki. Są prześliczne. Chciałabym, kiedy będę miała pieniądze, kupić chociaż sześć dla mojej mamusi na imieniny. Wiesz, które mi się podobają? O, te niebieskie z kwiatkowym

szlaczkiem.

— A mnie się podobają te w kratę — kupiłbym takie dla mojego tatusia. Nawet na pewno kupię, kiedy już dosyć uzbieram — powiedział Piotr stanowczo. — Ale patrz tylko, patrz na tego chłopaka.

I wskazał na wysokiego chłopca w poplamionym swetrze, który wpychał ukradkiem do kieszeni piękny jedwabny szalik.

— To złodziejaszek! — szepnął Piotr. — Trzeba będzie też mu zrobić figła i dać nauczkę.

— A co zrobimy? Przecież on jest bardzo duży! — westchnęła Karolcia.

— Ale my jesteśmy niewidzialni! — szepnął z zadowoleniem Piotr. — Już wiem, co zrobić! Odechce mu się na przyszłość kradzieży!

I szybko podskoczył w stronę złodziejaszka, który niczego się nie spodziewał. Jednym szybkim ruchem Piotr wyciągnął z jego kieszeni skradziony szalik. Złodziejaszek schwycił się za



kieszeń i przytrzymał koniec szalika. Ale to już nie nie pomogło. Teraz wszyscy patrzyli na chłopaka, który usiłował wepchnąć do kieszeni szalik, którego drugi koniec jakaś niewidzialna ręka ciągnęła do góry.

— Złodziej! Złodziej! — zakrzyknęły na ten widok sprzedające i rzuciły się w stronę chłopaka. Ale ten już nie czekał na dalszy ciąg swojej dziwnej przygody. Zmykał tylko ile sił w nogach, a trochę stłamszony szalik spoczął jakby ułożony na ladzie.

— A to dziwne wydarzenie — kiwali głowami ludzie, którzy to widzieli.

— E, to były zdjęcia do filmu — mówili inni.

— Ale zrobimy coś jeszcze bardziej dziwnego — powiedział na to po cichu do Karolci Piotr. — Teraz jazda do działu zabawek.

W dziale zabawek przystanęli zagapieni. Było na co patrzeć! Karolcia miała ogromną ochotę wziąć chociaż na chwilę do rąk którąś ze wspaniałych, ogromnych lalek. Stały rzędem na półce, ubrane ślicznie — zupełnie jak małe, żywe dziewczynki. Miały prawdziwe włosy do mycia, zamykane oczy i Karolcia wiedziała, że jeśli się je przechyli do tyłu, to powiedzą: ma-ma. Właściwie to Karolcia tak naprawdę, ale to naprawdę, wcale nie chciała mieć takiej lalki na zawsze — od razu wiedziała, że to jest za droga lalka. Ale przecież chodziło tylko o to, żeby ją tak trochę wziąć na ręce. Tak, tak — ale jak to urządzić, żeby zaraz nie zrobiło się całe przedstawienie i żeby wszyscy nie stanęli w podziw, że lalka sama zeszła z półki. Bo przecież jeśli niewidzialna Karolcia ją stamtąd weźmie, to będzie zupełnie wyglądało, jakby lalka sama chodziła albo unosiła się w powietrzu. A tymczasem Piotr zaproponował:

— Chcesz? To wdrapię się na tę półkę i zdejmę ci którąś lalkę. Tylko powiedz którą. No, czemu się namyślasz, Karolciu! Przecież lalce nic się nie stanie, bo na pewno jej nie zepsujesz! Poza tym przecież nie chcesz jej zabrać, tylko potrzymać — więc nie będzie to nic złego. Zaraz potem postawię ją na tym samym miejscu...

— Kiedy... — zaczęła niepewnie Karolcia.

— Ojej! Jaka ty jesteś! — mruknął Piotr. — Nie nudź, Karolciu! — I zanim Karolcia zdążyła odpowiedzieć, już stał na ladzie

i sięgał do półki.

— No, którą chcesz? — spytał.

— To już najlepiej tę w spódniczce czerwonej, uczesaną w koński ogon.

Nie minęła chwila, kiedy lalka znalazła się w ramionach Karolci. Była to zresztą bardzo duża lalka i Karolcia postawiła ją na ziemi, a potem wzięła za rączkę jak małe dziecko i zaczęła ostrożnie prowadzić.

Wśród kupujących rozległ się okrzyk zachwytu:

— Lalka, która sama chodzi! Pewnie bardzo droga!

— Proszę mi zaraz dać taką lalkę, która sama chodzi! — zażądała natychmiast jakaś pani.

— I mnie, i mnie — rozległy się głosy. I zaraz wszyscy ustawili się w kolejce.

— Kiedy to nie są chodzące lalki — wyjąkała zdumiona sprzedawczyni — ja nic o tym nie wiem!

— O, widzicie, nie chce sprzedawać takich pięknych lalek — zaczęli się irytować kupujący. — Proszę zaraz sprzedać te lalki!

A jedna dziewczynka, która właśnie przyszła razem ze swoją mamą, wołała:

— Ja chcę koniecznie mieć taką lalkę, koniecznie! Zaraz mi ją kup, mamó.

Sprzedająca mrucząc pod nosem „nic nie rozumiem” zdjęła z półki jedną z lalek i spróbowała postawić ją na ladzie. Lalka stała co prawda, ale o chodzeniu nie było mowy.

— Widać zepsuta! — orzekła ta pani z córeczką. — Proszę nam dać inną.

— Kiedy nie mam innych, przecież od razu mówiłam, że to nie są lalki chodzące — tłumaczyła ekspedientka.

— Tak? A dlaczego tamta lalka chodzi? To proszę mi ją zaraz zapakować!

— Mogę zapakować, jeśli pani tak koniecznie chce — zgodziła się dla świętego spokoju sprzedająca.

Tymczasem Piotr i Karolcia ujęli teraz lalkę za obie rączki i szybko pomaszrowali korytarzem.

Naturalnie, że wcale nie mieli zamiaru uciekać z lalką, tylko ogromnie się im ta zabawa spodobała. Ludzie stojący przy

stoiskach stawali w podziw, zagapieni na maszerującą lalkę.

— Mamo! Ona ucieka! — wrzasnęła naraz ta dziewczynka, która przedtem chciała koniecznie dostać chodzącą lalkę. A potem wyrwała się matce i pobiegła za niewidzialnymi Piotrem i Karolcią. Widząc tę niespodziewaną pogoń, puścili się pędem. Lalka niesiona przez nich galopowała teraz poprzez całe piętro domu towarowego.

— Zaczekaj! — wrzeszczała goniąca ją dziewczynka. Za dziewczynką znów biegła jej mama, też pokrzykująca nie wiadomo dlaczego: — Stać! Stać!

Za tą mamą wreszcie biegła na końcu sprzedająca. Wołała:

— Proszę pani! Proszę pani! Niech się pani uspokoi! Ojej! Co tu się dzieje! Ta lalka chyba jest popsuta, że tak biegnie! Trzeba zawołać dyrektora! Dyrektora!

— Ojej — szepnęła teraz Karolcia do Piotra — dyrektora chcą wołać, może być z tego okropna awantura.

— E, nic się nie bój — uspokoił ją Piotr. — Tylko wiesz co? Już mi się znudziło to bieganie z lalką. Oddajmy ją.

— A komu?

— Jak to komu? — ekspedientce. Tylko czekaj, przedtem jeszcze zrobimy jeden kawał. Zatrzymajmy się!

Ku zdumieniu wszystkich maszerująca lalka zatrzymała się nagle. Przystanęła, obróciła się w stronę goniących i powiedziała głosem, który dziwnie był podobny do głosu Piotra:

— Znudziło mi się chodzić. Chcę wrócić na półkę.

I wróciła. Zupełnie to wyglądało tak, jakby ją tam ktoś postawił. To znaczy Piotr i Karolcia postawili ją na jej dawnym miejscu. Teraz

wszyscy zaczęli pytać o cenę takich chodzących lalek, a Piotr i Karolcia wsiedli do małego samochodziku. Od dawna już mieli ochotę nim się przejechać — od dawna, to znaczy jeszcze od owego czasu, kiedy przychodzili do domu towarowego jako zwyczajne dzieci, a nie takie, które mogą, gdy zechcą, stać się niewidzialne. Teraz więc spełniły się ich marzenia. Piotr zasiadł przy kierownicy.

— Jedziemy naokoło — powiedział i ruszyli. No i naturalnie

znów zaczęły dziać się straszne awantury, bo teraz wszyscy biegli za pędzącym samochodzikiem.

— Reklama! Reklama! — wołali kupujący i chcieli koniecznie wsadzić tam swoje dzieci.

— Musimy wysiąść — westchnął Piotr — nic z tego nie będzie. Nie dadzą nam spokoju.

— Chodźmy wobec tego do domku Baby Jagi — zaproponowała Karolcia — tam będziemy mogli spokojnie się pobawić.

— Świetna myśl — pochwalił Piotr.

Domek Baby Jagi był małym domkiem zbudowanym z pierników — ale tak na niby, bo naprawdę to był drewniany. Były tam małe okienka z firaneczkami i zielone drzwi, a na dachu siedziała drewniana sowa i obok niej uszyty z gałganków czarny kot.

CO SIĘ DZIAŁO DALEJ W PIERNIKOWYM DOMKU

Otworzyli więc skrzypiące drzwiczki zielonego płotka, który otaczał domek Baby Jagi. Pod oknami zrobiony był ogródek z papierowych kwiatów i rosło drzewo, które było zwykłą dekoracją z dykty i papieru, pomalowanego na zielono i brązowo. Czerwone jabłka na drzewie też były z czegoś zrobione. Może z papierowej pomalowanej na czerwono masy.

— Szkoda, że to wszystko jest nieprawdziwe — powiedział Piotr. — Gdyby to było tak naprawdę! Pomyśl tylko! No, powiedz sama, czy byś nie chciała, żeby to był prawdziwy domek!

— Pewnie że bym chciała, żeby to był prawdziwy, ale taki najprawdziwszy domek z prawdziwą Babą Jagą i prawdziwym kotem, i ze wszystkim prawdziwym! — zakrzyknęła z zapalem Karolcia, ściskając niebacznie w ręku błękitny koralik. Ciągle bała się, aby go nie zgubić podczas tych wszystkich przygód, i stale sprawdzała, czy przypadkiem nitka się nie przerwała i koralik nie zginął. Ale koralik był i natychmiast spełnił życzenie Karolci.

Ledwie zamknęli za sobą skrzypiącą furtkę, natychmiast poczuli zapach żywych kwiatów rosnących przed domkiem, a zielona trawa była świeża i pełna stokrotek. Puchacz na dachu poruszał się niespokojnie i łypnął jednym żółtym okiem, czarny kot wstał i przeciągnął się, a potem mruczac przyjaźnie zeskoczył na ziemię i zaczął się ocierać o nogi Karolci, tak jak to zwykły czynić wszystkie zaprzyjaźnione koty na świecie.

— Nie bój się go, on ci chyba nic złego nie zrobi — szepnęła Piotr.

— Wcale się nie boję — odpowiedziała Karolcia z oburzeniem.

— Co ty, Piotrek! Przecież ja bardzo lubię koty!

— Ale ten jest zaczarowany — przypomniał z zachwytem

Piotr.

— Tym lepiej — kiwnęła główką Karolcia. — Przepadam za zaczarowanymi kotami. Patrz, jaki jest miły i jakie ma aksamitne futerko.

— Tylko wiesz co? Przecież on nas widzi! Inaczej nie łąsiłby się do ciebie. Czy to ma znaczyć, że znów jesteśmy widzialni? Trzeba by się jakoś o tym przekonać... ale jak? Już wiem! — I Piotr niewiele myśląc przechylił się za płótek i chwycił jakąś przechodzącą panią za płaszcz. Pani podniosła krzyk:

— Ratunku, złodzieje! Ktoś chciał ze mnie ściągnąć płaszcz!

— Ale gdzie jest ten złodziej?! — pytali wszyscy.

— Nie wiem — odpowiedziała pani, patrząc w stronę Piotra.

— Nie wiem, gdzie się podział, wiem tylko, że ciągnął mnie z całej siły za płaszcz!

— Eee, ciągnął i zniknął — powiedział ktoś — pewnie zaczęła się pani o płótek. — I zaraz wszyscy zaczęli się śmiać i zrobiło się ogromnie wesoło, a paniusia poszła sobie dalej. Piotr był już zupełnie pewien, że jest jednak dalej niewidzialny. No i Karolcia również.



— Widać to jest tak — ucieszyli się — że dla zwykłych ludzi to jesteśmy niewidzialni, a widzieć nas mogą tylko ci z zaczarowanego świata. — I wydało im się to bardzo przyjemne. Tymczasem kot wyginając grzbiet miauknął kilka razy uprzejmie, a potem, z podniesionym do góry ogonem, powędrował do drzwi chatki. Po chwili te zielone drzwi otworzyły się i wyszła do ogródka Baba Jaga. Ponieważ przedtem była drewniana, więc w pierwszej chwili zupełnie nie było wiadomo, czy dalej jest drewniana, czy też dzięki czarom jest prawdziwa. W każdym razie w tej chwili wcale nie wyglądała groźnie i w dodatku z poczciwym uśmiechem zapraszała ich do środka domku. Nie zastanawiali się więc dalej nad tą sprawą. A w domku było przepięknie! Wszystko było tam prawdziwe — i małe mebelki, i poduszki na łóżka, i piec z trzaskającym wesoło ogniem.

— Czy lubicie pierniki? — spytała Baba Jaga.

— Lubię serduszka w czekoladzie — przyznała się Karolcia.

— Serduszka w czekoladzie? — ucieszyła się Baba Jaga. — A to świetnie! — I natychmiast zaczęła wyjmować z pieca pyszne, świeżo upieczone pierniczki.

— Spróbujcie — częstowała.

Były przepyszne. Ale przecież nikt nie może zjeść zbyt dużo serduszek czekoladowych. A może Baba Jaga się obrazi, jeśli się nie zje wszystkich?

— Możecie rozdawać je dzieciom, które tu przychodzą — powiedziała wtedy Baba Jaga, która, widać, wiedziała, co kto myśli.

— Ale czy możemy to zrobić, kiedy jesteśmy niewidzialni?

— Ach, mogę doskonale na tę chwilę zrobić was znów widzialnymi — i dotknęła ich palcem — teraz już was wszyscy będą widzieli.

— Czy potem znów możemy być niewidzialni? — zaniepokoił się Piotr. — Bo pani rozumie, musimy wrócić niedługo do domu...

— Oczywiście, odzyskacie waszą niewidzialność, gdy tylko będziecie chcieli.

— To świetnie!

Tymczasem wokoł domku Baby Jagi stały zagapione dzieci. Stali również nie mniej zagapieni ich rodzice. Wszyscy podziwiali piernikowy domek, kwitnące wokół kwiaty i mądrego kota, który mruczał jakąś kocią piosenkę. Zachwyt wzrósł z chwilą, kiedy z domku wyszli Piotr i Karolcia i zaczęli rozdawać piernikowe serduszka w czekoladzie.

— Aha! — przypomniała sobie Baba Jaga — chciałam wam jeszcze powiedzieć, że te pierniki też nie są takie zupełnie zwyczajne. Kto zje takie serduszko, od razu staje się lepszy. Sami zresztą zobaczycie.

Rzeczywiście, że zaczęły się dziać rzeczy niezwykle. Wszyscy ustępowali sobie miejsca, nikt się nie pchał, chłopcy prosili dziewczynki, aby stanęły przed nimi, nie było mowy o żadnych sprzeczkach i popychaniu. A nawet jeden starszy chłopak pożyczył swoją czystą chustkę do nosa pewnemu malcowi i wziął go na rękę, aby mógł lepiej zobaczyć, jak wygląda domek Baby Jagi. Pewna dosyć duża dziewczynka zdjęła z warkocza różową kokardę i podarowała ją małej dziewczynce, która płakała z powodu zgubienia własnej kokardy. Jeśli przypadkiem zjadł kawałek piernika ktoś z dorosłych, natychmiast zaczynał rozumieć, że sprawy dzieci są niezmiernie ważne i właściwie najważniejsze ze wszystkiego. Mamusie natychmiast uważały, że sprawunkiem, który jak najszybciej trzeba załatwić, jest kupienie lalki dla córeczki, a tatusiowie szybko przeliczali pieniądze, czy im starczy na kupno roweru lub chociaż hulajnogi dla synka. Wszyscy chcieli być dla wszystkich bardzo dobrzy.

Naraz ku swojemu ogromnemu zdumieniu Karolcia zobaczyła w tłumie stojących, którym rozdzielała piernikowe serduszka, swoją własną mamusię. Na szczęście mamusia zjadała właśnie kawałek piernika, którym ją poczęstowała jakaś inna mamusia, i wobec tego wcale się nie zdziwiła, kiedy zobaczyła Karolcię w domku Baby Jagi, tylko zamachała do niej wesoło chusteczką.

— Zaraz idę, mamusiu — zawołała Karolcia — tylko rozdám wszystkie pierniczki!

W tej chwili podeszła do zielonej furteczki jakaś pani w

dziwacznym kapeluszu z piórami, takim, jakich już nikt nie nosi, i wyciągnęła rękę.

— Proszę bardzo! To są pyszne serduszka w czekoladzie — powiedziała uprzejmie Karolcia.

— Dziękuję — odpowiadała pani w dziwacznym kapeluszu

— nie chcę twoich pierników, moja mała. Za to daj mi co innego.

— Czego pani sobie życzy? — spytała wobec tego Karolcia.

Nieznajoma podniosła głowę przybraną dziwacznym kapeluszem i dopiero teraz Karolcia zobaczyła spiczasty nos i małe, błyszczące oczy.

— Daj mi zamiast pierników ten swój niebieski koralik — szepnęła syczącym głosem — daj mi go zaraz!

I wyciągnęła swą szponiastą, chudą rękę w stronę koralika.

— Nie dam mojego koralika! — krzyknęła wtedy Karolcia.

— Co się stało? — spytał podbiegając Piotr.

— To Filomena! Poznałam ją, chce nam zabrać koralik. Ratujmy się! — Karolcia już sama nie wiedziała, co począć.

— Musimy znów stać się niewidzialni! Zrób to natychmiast — wołał Piotr — a potem uciekniemy!

Rzeczywiście natychmiast odzyskali niewidzialność, ale niestety! Błękitny koralik nie był przecież niewidzialny, tylko jaśniał swym ślicznym błękitem, kołysząc się na różowej, jedwabnej nitce, wiszącej na Karolcinej szyi. Był tak niewielki, że właściwie nikt go nie mógł zauważyć, ale Filomena widziała go doskonale.

— Ha! — wrzasnęła teraz Filomena — i tak ci go odbiorę!

— Nie, przynigdy mi go nie odbierzesz! — zawołała bohatersko Karolcią. — Piotr! Ratujmy się!

Piotr chwycił szybko Karolcię za rękę i zaczęli uciekać. Błękitny koralik wyglądał jak mała, niebieska iskierka migocąca w powietrzu.

Filomena rzuciła się też gwałtownie w pogoń za koralikiem i Karolcią.

— Prędkiej, prędkiej! — szeptał teraz Piotr, ciągnąc Karolcię za rękę. — Prędkiej!

Przemykali się w tłumie, nurkowali między kupującymi, a

Filomena pędziła za nimi.

— Czego pani się pcha! — oburzali się ludzie. — Czy pani oszalała? Co to za wychowanie!

— Precz! Z drogi! — ryczała rozszłoszczona Filomena, wymachując parasolem.

Całe szczęście, że goniąc poprzez całe piętro, Piotr i Karolcia wpadli do działu firanek. Wtedy to Filomena zaplątała się w jedną z nich i runęła jak długa na podłogę. Trzepotała się niby ryba w sieci i już się zdawało, że koralik jest ocalony, gdy najniespodziewaniej na świecie jakaś przechodząca pani niechcący zaczepiła nową, dopiero co kupioną łyżką durszlakową o różową nitkę na szyi niewidzialnej Karolci. Nitka pękła, a koralik potoczył się po gładkim linoleum, którym wyłożona była podłoga w domu towarowym. Koralik, tocząc się po podłodze, dzwięczał jak gdyby najśliczniejszy i najdelikatniejszy dzwoneczek. Filomena niestety usłyszała ten dźwięk. Nie darmo miała duże i jakby trochę kosmate uszy. Wyplątała się więc nad podziw zręcznie z firanki i skoczyła jak pantera w stronę koralika. Ale tu spotkała się z niewidzialnym Piotrem i niewidzialną Karolcią, którzy również rzucili się na ziemię, aby podnieść toczący się koralik, któremu groziło podwójne niebezpieczeństwo — po pierwsze, że schwyci go Filomena, a po drugie, że ktoś mógłby go rozdeptać. Chwila była bardzo dramatyczna! Bo oto szponiasta ręka Filomeny była tuż, tuż przy koraliczku, gdy naraz, prawie w ostatniej chwili zdołała go pochwycić Karolcia. Piotr tymczasem usiłował obezwładnić Filomenę: gdy ta leżała wyciągnięta na chodniku, przytrzymał ją z całej siły, aby nie mogła gonić dalej Karolci. I znów naturalnie zgromadził się tłum ludzi — wszyscy przyglądali się ze zdumieniem Filomenie, która w przekrzywionym kapeluszu, wyjąc dziko, rzucała się na podłogę.

Bo nikt przecież nie widział walczącego z Filomeną Piotra.

— Ta pani zachorowała! — odezwały się głosy. — Widać ma jakiś atak! To może być niebezpieczne! Wezwijcie pogotowie!

Nie minęła chwila, kiedy pogotowie nadjechało. Lekarz w białym fartuchu i dwaj sanitariusze zajęli się Filomeną, która dalej krzyczała:



— Łapcie ich, łapcie! Muszę odebrać niebieski koralik!

— Zdaje się, że pani ma gorączkę — powiedział grzecznie doktor — pani pozwoli, że zmierzmy temperaturę.

I włożył Filomenie pod pachę termometr. Oczywiście że z termometrem nie wolno podskakiwać, więc siedziała teraz zła okropnie i klóciła się z doktorem, że nic jej nie jest.

— Damy pani zastrzyk na uspokojenie, nic więcej — obiecywał lekarz.

Tymczasem Karolcia zdołała już na szczęście podnieść koralik.

Trzymała go teraz w zaciśniętej ręce i nie wiedziała, co z nim zrobić, aby go nie zgubić.

— Zmykajmy do domu, zdaje się, że już jest bardzo późno — przypomniał sobie Piotr.

I naraz zdziwił się.

— Widzisz, Karolciu?! Twoja mama też tu jest. Przy stoisku z guzikami!

Rzeczywiście! Mama Karolci stała tam i kupowała guziki do

Karolcinej sukienki. Zanim Piotr cokolwiek zrozumiał, Karolcia podbiegła do mamy i szybko wsunęła rękę do kieszeni jej płaszcza. Potem wróciła do Piotra i powiedziała:

— Już schowałam koraliczek. Jest teraz zupełnie bezpieczny.

— A co z nim zrobiłaś?

— Po prostu wsunęłam do kieszeni w mamy płaszczu. Nie bój się! Nie zginie tam! Kieszeń jest niezmiernie głęboka!

— To co z nami będzie? — krzyknął Piotr.

— Jak to: co?

— No przecież jesteśmy jeszcze ciągle niewidzialni!

— No wiem, że jesteśmy niewidzialni, no to co z tego?

— Jak to: co? Karolciu, pomyśl tylko! Przecież musimy wobec tego pozostać niewidzialni tak długo, dopóki nie odzyskasz koralika. Przecież nie możesz poprosić, abyśmy znów stali się widzialni, jeśli nie będziesz miała koralika przy sobie.

— Prawda! — przestraszyła się trochę Karolcia. — Ale jestem pewna, że moja mamusia nie zgubi koraliczka i gdy tylko wrócimy do domu, to zaraz sięgnę do jej kieszeni, wyjmę go i znów będziemy widzialni.

— Tak, tak, a jeśli twoja mama tak od razu nie wróci do domu, tylko jeszcze będzie załatwiała na przykład jakieś sprawunki — to co? Tymczasem moja mama będzie się ogromnie niepokoiła, że mnie nie ma w domu, i potem będzie awantura. Jesteś ogromnie lekkomyślna, Karolciu.

— Wcale nie jestem lekkomyślna! Przecież musiałam ratować koralik! Musisz mi przyznać, że musiałam ratować!

— No musiałaś, musiałaś, ale, ale... ojej, widzisz, jak późno?

— Oj, prawda! Okropnie późno! To chyba jedziemy do domu.

— Pewnie, że jedziemy! Tylko jak? O tej porze wszystkie autobusy są bardzo przepełnione! Ludzie wracają na obiad do domu! Boję się, że cię zgniotą w tym tłoku, bo o siebie to się nie boję — dodał Piotr rycersko.

— O mnie się nie bój! Jakoś damy sobie radę! Tylko jeszcze musimy pożegnać się z Babą Jagą i z czarnym kotem. To byłoby niegrzecznie tak wyjść bez pożegnania.

Baba Jaga skończyła tymczasem rozdawanie pierników w czekoladzie.

— Zachowałam tylko jeszcze kilka dla was — powiedziała.

— Wiem, że musicie wracać do domu. Ja też znów stanę się drewniana. Ale jeśli jeszcze kiedy zajrzycie do mnie, chętnie was zobaczę. Aha! Pamiętajcie! Serduszka w czekoladzie nie tracą swojej mocy nawet i w prawdziwym świecie. Sami zresztą o tym się przekonacie. Bądźcie zdrowi. I strzeż się Filomeny, Karolciu! To niedobra kobieta. Gdyby dostała w swoje ręce błękitny koralik, mogłaby zrobić dużo złego na świecie. Wyobraźcie sobie, co by to było, gdyby tak zaczęła żądać od koralika spełniania różnych złych rzeczy! No, to żegnajcie!

Mieli teraz pełne kieszenie serduszek. Baba Jaga była znów drewniana, tylko kot jeszcze parę razy zamruczał przyjaźnie, zanim wskoczył na dach domku, żeby tam też znieruchomieć i udawać gałganiego.

— Chodźmy! — zakomenderował Piotr. — Naprawdę najwyższy czas na nas.

W DOMU DZIEJĄ SIĘ DZIWNE RZECZY

Wcale nie jest tak łatwo, gdy się jest niewidzialnym, przyjechać do domu w zatłoczonym autobusie. Ale całe szczęście, że się to jakoś udało, i wreszcie Karolcia i Piotr znaleźli się w domu. Ze drzwi były zamknięte, to też jeszcze nie było najgorsze, bo ostatecznie zawsze można było zadzwonić i gdy ciotka Agata, mrucząc gniewnie na głupie dowcipy chuliganów, którzy dzwonią i uciekają, otworzyła drzwi, udało się szybko wsunąć do mieszkania. Ale najgorsze było to, że mama jeszcze nie wróciła do domu!

— A jeśli przypadkiem koralik wypadnie twojej mamie z kieszeni? — powtarza Piotr.

— Oj, nie martw się naprzód — uspokajała go Karolcia. Ale naprawdę sama też tym się trochę martwiła. Bo co by było, gdyby tak na przykład, wyjmując z kieszeni chusteczkę albo rękawiczki, mama wyrzuciła niechcący koralik. Strach pomyśleć — wtedy musieliby już do końca życia zostać niewidzialni.

— Ja tymczasem polecę i zobaczę, co u mnie w domu słychać — przypomniał sobie Piotr. — I zaraz wrócę. Tylko pamiętaj, jak zadzwonię, musisz mi zaraz sama otworzyć, bo ciotka Agata może się rozniewać i wcale do drzwi nie podejść.

— Dobrze, ale przyjdź jak najszybciej! Bo co ja tu sama, i w doda-tku niewidzialna będę robić? — westchnęła Karolcia. — I taka jestem okropnie głodna.

— Ja też! — przyznał się Piotr. — Pierniczki były świetne, ale nie jest to takie prawdziwe jedzenie.

— Wracaj szybko, to się naradzimy, może jakoś uda się coś zjeść. Tylko nie trzaskaj głośno drzwiami, kiedy będziesz wychodził, bo ciotka zno- się zdenerwuje. A potem wszystko będzie na mnie.

— A gdyby tak ciotka Agata zjadła kawałek serduszka w

czekoladzie, to może by się nie gniewała na ciebie? — wpadł na pomysł Piotr.

— Wiesz? To byłoby dobre. Gdyby tylko zechciała zjeść! Czekać, spróbuję jakoś jej podsunąć.

Po chwili na kredensie w kuchni leżała zgrabnie zawinięta paczuszka, na której znajdowała się kartka z nagryzmołonymi w pośpiechu słowami:

Dla kochanej Cioci Agaty od Karolci, żeby Ciocia koniecznie spróbowała, jakie to dobre.

Jak na złość ciotka krzątała się przy kuchence gazowej, gdzie akurat zapiekała makaron z szynką. Była widać trochę zagniewana, bo mruczała coś pod nosem i mocno, z hałasem przesuwiała garnki. Wreszcie podeszła po coś do kredensu i zobaczyła paczuszkę. Trochę jeszcze gniewna, przeczytała list, ale widać była ciekawa, co paczuszka zawiera, bo otworzyła ją szybko. Czekoladowe serduszka wyglądały niezmiernie apetycznie, a w dodatku pachniały tak, że nikt nie mógł się temu zapachowi oprzeć i koniecznie musiał zaraz ugryźć chociaż mały kawałek. Tak też zrobiła i ciotka Agata. I w tej chwili — ledwie przełknęła pierwszy kęs, już od razu poweselała. Pomrukując teraz z zadowolenia, zjadła pierniczek do końca.

— Przepyszne — orzekła — ach, ta Karolcia! To złote dziecko! Że też pomyślała o tej swojej starej ciotce.

W tej chwili rozległ się dźwięk dzwonka. Nie ulegało wątpliwości — to dzwonił Piotr. Karolcia rzuciła się pędem do przedpokoju, aby mu otworzyć, ale ciotka Agata nie dała się wyprzedzić, o nie! Chyżo przebiegła przedpokój i szeroko otworzyła drzwi, za którymi stał niewidzialny Piotr. Ale pomimo to, że nikogo nie zobaczyła, nie gniewała się tym razem, tylko zachichotała.

— Ach, to jakiś urwis dzwoni! Ale to nic nie szkodzi! — I nucąc wesoło, ciotka Agata wróciła do kuchni.

— No i co? — spytała Karolcia Piotra. — Co się dzieje u ciebie w domu?!

— Na szczęście mama i tatuś jeszcze nie wrócili. Zostawiłem

kartkę, że niedługo przyjdę, żeby się nie martwili. Chciałem coś zjeść, ale nic w domu nie było, bo mama miała kupić wszystko po drodze.

— E, u nas jest masa jedzenia. A ciotka Agata coś pierze w łazience. Chodźmy więc śmiało do kuchni!

Ciotka Agata oczywiście dziwiła się potem bardzo, dlaczego jest tak mało mleka w dzbanku i skąd się wzięły na stole dwie brudne szklanki po mleku, kiedy przecież była najpewniejsza pod słońcem, że wszystkie szklanki umyła już rano. Siedziała na stołku kuchennym rozmyślając nad tym, kiedy znów zadzwiećczał dzwonek przy drzwiach. To była na pewno mama!

Tak, to była mama z rękami pełnymi paczek.

— Załatwiłam masę sprawunków — powiedziała mama. — Karolcia jest w domu?

— Jeszcze nie ma, ale zaraz powinna przyjść — uspokoiła mamę ciotka — pewnie bawi się na podwórku. Kochane dziecko!

— Wolałabym, żeby już była w domu — mama nie była zbyt zachwycona nieobecnością Karolci. Kładła zakupy na stole i zdejmowała rękawiczki.

— Muszę poczekać, aż mama zdejmie płaszcz — szepnęła Karolcia do Piotra. — Rozumiesz, że nie chcę teraz sięgać do kieszeni!

Wreszcie mama zdjęła płaszcz i powiesiła na wieszaku w przedpokoju. Karolcia podskoczyła czym prędzej i zanurzyła rękę w głębokiej kieszeni. Długo szukała, wreszcie odwróciła się do Piotra — nie ma w tej kieszeni! Pewnie się pomyliła! To jest ta druga kieszeń!

Ale w drugiej kieszeni też nie było błękitnego koralika!

— Mama zgubiła koralik! — jęknęła Karolcia.

— Co teraz będzie?! — zdenerwował się Piotr. — Czy jesteś zupełnie pewna, że nie ma?! Szukajmy jeszcze raz.

Na szczęście mama była w drugim pokoju i opowiadała o czymś ciotce. W pewnej chwili wróciła po coś do przedpokoju i ku swojemu szalonemu zdziwieniu spostrzegła, że płaszcz, który przed chwilą, jak się jej zdawało, powiesiła na wieszaku, leży na łóżku, a w dodatku porusza się dziwnie, zupełnie jakby siedziało w nim jakieś zwierzątko.

— Ach! Ach! — krzyknęła mama — coś siedzi w moim płaszczu! Może to szczur?!

Bo mama bardzo się bała szczurów i myszy.

— Co się tu dzieje? — zapytał naraz tatuś. Nikt nie słyszał, kiedy wszedł do mieszkania, bo mama rozmawiała wtedy z ciotką Agatą, a potem krzyczała ze strachu, a znów Karolcia i Piotr przez ten czas, bliscy płaczu, szukali koralika i nigdzie nie mogli go znaleźć.

— Zdaje się, że już na zawsze będziemy niewidzialni — westchnął Piotr. — Ma to swoje dobre strony, ale nie zawsze. Można na przykład nie odrabiać lekcji!

— I można bawić się w domu towarowym — pocieszająco powiedziała Karolcia — ale strasznie mi żal mamy. Bo co powie na to, że ma niewidzialną córeczkę. Chyba będzie płakała.

— A moja mama też będzie się ogromnie martwiła — Piotr załamał ręce — no, to co zrobimy?

— Nie wiem — szepnęła z rezygnacją Karolcia i rozplakała się na dobre.

— Przeszukajmy te kieszenie jeszcze raz — zaproponował Piotr. Ale zaraz musieli odsunąć się od palta, bo właśnie do pokoju weszli tatuś i mamusia.

— Teraz już się to palto nie rusza, widać ten szczur uciekł — powiedziała mama, a tatuś odważnie chwycił palto i podniósł je do góry.

Potrząsnął nim przy tym, żeby mamie pokazać, że nic nie ma w środku.

— Coś ci się przywidziało! — powiedział i pocałował mamusię na pocieszenie. — Ale, ale, byłbym zapomniał! Przeczytaj koniecznie dzisiejsze popołudniowe gazety! Piszą o tym, że dziś w domu towarowym działy się niezwykle rzeczy.

I tatuś podał mamie gazetę, w której na pierwszej stronie, ogromnymi literami było wydrukowane:

NIESŁYCHANE WYDARZENIE W DOMU TOWAROWYM!

UDANE POMYSŁY REKLAMOWE!

LALKĄ, KTÓRA SAMA CHODZI!

UCIECZKA SAMOCHODZIKA!

— A wiesz? Rzeczywiście coś tam takiego było. Co prawda nie byłam sama przy tym, ale ludzie byli niesłychanie podnieceni i opowiadali o jakiejś maszerującej lalce. Po jakąś kobietę przyjechało pogotowie. Ale zdaje się nic poważnego. I jeszcze coś: zupełnie przypadkiem jadłam pyszne pierniczki! Wyobraź sobie, że rozdawała je dziewczynka w domu Baby Jagi. Ta mała była tak podobna do naszej Karolci, że w pierwszej chwili pomyślałam, że to ona, i nawet zamachałam do niej ręką. Oczywiście, że dopiero potem uprzytomniłam sobie, że to niemożliwe, że przecież Karolcia została w domu.

— A jak już mowa o Karolci — powiedział na to tatuś — czemu jej jeszcze nie ma?

— Kochane dziecko — odpowiedziała na to ciotka Agata — wyszła pobawić się z dziećmi. Napisała do mnie karteczkę, abym była spokojna. Więc jestem spokojna!

— Ale ja nie jestem spokojny! — zdenerwował się tatuś. — Najwyższy czas, aby była już w domu. Zdaje mi się, że powinniśmy siadać do obiadu.

— Ależ ,oczywiście, że zaraz siadamy — uspokajała tatusia ciotka Agata — a Karolcię natychmiast zawołam.

— Boże, co teraz będzie! — westchnęła Karolcia. A Piotr tylko zwiesił głowę. Tymczasem mamusia zaczęła czegoś gwałtownie szukać w torebce.

— Czekaj, czekaj — powiedziała do tatusia — chcę ci jeszcze coś pokazać! Wyobraź sobie, że znalazłam coś dziwnego w kieszeni palta...

— ...W kieszeni palta?!!!!! — Karolcia gwałtownie chwyciła rękę Piotra i teraz zamienili się oboje w słuch.

— Sięgnęłam do kieszeni, aby zapłacić za bilet w autobusie, i naraz znalazłam coś ślicznego. Nie wiem, czy to ma jakąś wartość, ale być może, że jest to jakiś drogocenny kamyczek, a może zupełnie zwyczajne szkiełko. Ale ma taki dziwny blask.

I mama sięgnęła do torebki, skąd wyjęła portmonetkę. Potem z portmonetki wyjęła zawinięty w kawałeczek papieru... błękitny koralik.

Zanim jednak tatuś zdołał przyjrzeć się dziwnemu

koralikowi, zniknął on nagle z ręki mamusi jak zdmuchnięty.

— Musiał mi upaść na podłogę... nie mam pojęcia, co się z nim stało, ale mówię ci, że był to przedziwny błękitny kamyczek, gdzież on się podział?...

— Mniejsza o to, Aniu — powiedział tatuś — na pewno nie był to żaden klejnot. Siadajmy lepiej do obiadu, jestem strasznie głodny! Ale niepokoję się, gdzie jest Karolcia?... Chyba już czas, żeby była w domu!

A Karolcia! Domyśliliście się chyba, że to Karolcia porwała błyskawicznie z ręki mamy błękitny koralik. Nie miała po prostu innego wyjścia. Potem ściskając koralik w dłoni pociągnęła za sobą Piotra do przedpokoju, następnie otworzyła po cichu drzwi i wreszcie przystanęła w sieni. Tam natychmiast wyszeptwała życzenie — aby ona i Piotr znów stali się widzialni. I zaraz tak oczywiście się stało.

— No, teraz możemy zadzwonić — westchnęła Karolcia — tym razem biedna ciotka Agata nie będzie się denerwować, że na próżno otwiera drzwi.

— Ale może będzie się gniewała, że późno wracamy — zaniepokoił się Piotr.

— Wcale nie będzie się gniewała! Zapomniałeś, że zjadła zaczarowane serduszko w czekoladzie? Zaraz sam się przekonasz.

No i Piotr przekonał się. Naprawdę! Bo ledwie zadzwonili, otworzyła im ciotka Agata promieniejąca radością.

— Kochane dzieci! — wołała. — Są już! Pewnie głodni! Piotrze, czy zostaniesz u nas na obiedzie? Karolciu, myj rączki, mój skarbie.

— Dobrze, zaraz umyję rączki — zgodził się skarb, czyli Karolcia. Ale Piotr nie chciał zostać na obiedzie. Nie był wcale pewien, jak go przyjmą w domu. Przecież jego mama nie jadła piernikowych serc w czekoladzie.

UWAGA, BO CO BĘDZIE DALEJ?...

Nazajutrz, w tej chwili, kiedy Karolcia kończyła śniadanie, pod balkonem rozległo się umówione gwizdnięcie. To Piotr daje znać, że czeka na Karolcię na dole.

— Ciociu, czy mogę zejść na podwórze? — pyta wobec tego jak najgrzeczniej Karolcia. Co prawda ciotka Agata po zjedzeniu wczoraj piernikowego, zaczarowanego serduszka jest ciągle niezmiernie dobra, ale nie jest pewne, czy to potrwa długo? A może czas minie i ciotka znów zacznie zrzędzić?

Ale na razie ciotka jest jeszcze pod wpływem czekoladowego serduszka, bo zgadza się, żeby Karolcia natychmiast po wypiciu mleka zeszła na podwórze, i nawet proponuje Karolci, żeby włożyła nową, niebieską sukienkę. Hm, takiej propozycji nie należy lekceważyć. Włożenie nowej, niebieskiej sukienki jest dużą przyjemnością. W dodatku — tak, to jest niezmiernie ważne — nowa, niebieska sukienka ma duże kieszenie, i takie, z których nic na pewno nie wypadnie.

— Ciociu, jesteś niezmiernie, przeokropnie dobra! — woła wobec tego Karolcia. — Zaraz się ubiorę, tylko przedtem powiem Piotrowi, żeby na mnie czekał.

Ciocia zgadza się, pogodnie kiwając głową, i wydobywa z szafy sukienkę, a Karolcia wybiega na balkon i woła do Piotra:

— Czekaj na mnie! Ja zaraz przyjdę! Powiem ci coś bardzo ważnego!

— Dobra! — woła Piotr. Jest wesoły i wygląda na człowieka, który nie ma żadnych zmartwień ani ważnych spraw na głowie, gdy tymczasem Karolcia... Ach! Co tu mówić! Sprawa jest poważna.

Teraz jednak należy włożyć nową sukienkę. Ciotka Agata zawiązuje Karolciną kitkę też nową, niebieską wstążką, a Karolcia wsuwa do kieszeni głęboko, głęboko... niebieski koralik. Bo właśnie chodzi o ten koralik. Ale to się zaraz okaże.

— Tylko uważaj, Karolciu, żebyś jej nie rozdarła — upomina łagodnie ciotka Agata — a może chciałabyś wziąć dla siebie i Piotra drugie śniadanie? Gdzie się wybieracie? Może macie ochotę pójść do ogrodu?

Tak, to doskonała myśl!

— Tak, tak, pójdziemy do ogrodu — oświadcza z zapalem Karolcia — i proszę, ciociu, naszykuj coś do zjedzenia, żeby starczyło dla nas dwojga.

— Oczywiście, rybeńko — przytakuje ciotka Agata — już biegnę. Zawinę wszystko w ładną, zgrabną paczuszkę.

Kiedy ciotka Agata mówi „rybeńko”, znaczy to, że jest w najlepszym pod słońcem humorze.

Znaczy to również, że śniadanie zawinięte zgrabnie w papier będzie najświetniejsze pod słońcem.

Piotr oczywiście czeka na podwórzu, zniecierpliwiony.

— No i co dziś będziemy robić?! — pyta z ciekawością.

I aż mu oczy błyszczą.

— Daj spokój — mówi na to poważnie Karolcia — stała się rzecz straszna! Mam ogromne zmartwienie!

— Coooo! Zgubiłaś go? — pyta w najwyższym przerażeniu Piotr.

Karolcia kręci głową — nie, nie zgubiła. Ale jest... Jak by to powiedzieć... Taki jakiś jaśniejszy. Jakby zbłądł...

Karolcia wydobyła z głębi kieszeni maleńkie pudełeczko od proszków. Kiedy je otworzyła, na poduszce z różowej waty, przykryty drugim kawałkiem niby kołderką, leżał błękitny koralik.

— Co ty mówisz? — zmartwił się Piotr. — Co to może być? Słuchaj! A może to nie ten koralik? Może inny? Może go zamieniła Filomena? — Piotr aż podskoczył.

— No nie, przecież nie miała okazji.

— A może wtedy, kiedy spałaś?

— Myślisz, że mogła wpaść przez okno? Ojej! może masz rację. On taki błądy, zupełnie inny! Koraliczku, odezwij się!

I Karolcia wyjęła koralik z pudełka.

Ale koralik leżał błądy i milczący na rozwartej dłoni Karolci.

— Najlepiej będzie sprawdzić! — zdecydował po męsku Piotr.

— Poproś o coś! Jak się spełni — to ten sam. Tak się robi zawsze we wszystkich bajkach.

— Może masz rację. Tylko o co go poprosić?

— Wszystko jedno! No choćby o to, żeby tu wyrosło drzewko, o tu, przed nami!

— Dobrze — zgadza się Karolcia i wymawia życzenie.

W tejże chwili wyrasta przed nimi smukłe, młode drzewko.

— No widzisz? Ten sam! — woła triumfalnie Piotr. Ale Karolcia nie jest tym uspokojona. Trzyma koralik na otwartej dłoni i przygląda mu się.

— Patrz, patrz, jest jeszcze jakby bledszy! Jemu coś jest! Ja ci mówię! A może on jest chory, biedaczek?!

Sama myśl o tym tak ją przejęła i wzruszyła, że rozplakała się.

— Koraliczku — szepnęła tklawie i nie spostrzegła nawet, że jedna, nie otarta w porę łza kapnęła na koraliczek.

— Nie płacz, Karolciu — rozległ się szep.

— Kto to mówi? Czy to ty, koraliczku? — zdumiała się i ucieszyła zarazem Karolcia.

— Ja, ja. Mogę mówić tylko wtedy, kiedy jestem wilgotny... zapomniałem ci o tym powiedzieć. I zapomniałem ci jeszcze powiedzieć o ważnej rzeczy — słuchaj! Każde życzenie, które spełniam, osłabia mnie tak, że tracę kolor. Pamiętaj więc, że kiedy stanę się bezbarwny, nie będę mógł spełniać życzeń.

— Koraliczku... — chciała jeszcze spytać o coś Karolcia, ale widać promyk słońca, który padł w tej chwili na jej dłoń, wysuszył do reszty kroplę jej łzy, gdyż koralik nie odzywał się już więcej, tylko leżał nieruchomy, błękitny jak błada niezapominajka lub wiosenne niebo.

— Słyszałeś, Piotr? — odezwała się wreszcie Karolcia.

— Słyszałem — Piotr był też w tej chwili poważny i zmartwiony.

— Musimy koniecznie o tym porozmawiać, tylko gdzie możemy tak spokojnie pogadać?

— Najlepiej w ogrodzie — decyduje Karolcia — zresztą powiedziałam ciotce Agacie, że będziemy w ogrodzie.

— Świetnie! Tam rzeczywiście możemy porozmawiać, a jak będziemy chcieli, możemy potem pojeździć na karuzeli albo

pohuścić się!

— Właśnie, to samo chciałam powiedzieć — przytakuje Karolcia — a śniadanie mam dla nas dwojga.

— Dobrze, ale wiesz, co ci powiem? Że ze zmartwienia nawet nie mam apetytu!

Do tego ogrodu, który zaproponowała ciotka Agata, było bardzo niedaleko. Właściwie znajdował się prawie po drugiej stronie ulicy Kwiatowej. Nie był to bardzo duży ogród, ale miał mnóstwo zalet. Przede wszystkim najważniejsze było to, że dzieci z całej dzielnicy mogły tu w ciepłe dni spędzać czas na powietrzu i doskonale się bawić. Były tam krzewy, w których mogli mieszkać Indianie, były wąskie ścieżki, którymi chodzili wielcy wodzowie Mohikanów i Siuksów, były place, gdzie można było jeździć na rowerze lub hulajnodze, były wreszcie cztery huśtawki, jeden kołobieg, jedna karuzela i dwie zjeżdżalnie, nie mówiąc o dwóch wielkich piaskownicach dla maluchów. Jeśli tak się zdarzyło, że któreś z dzieci nie mogło wyjechać podczas wakacji na wieś, to tu spędzało lato. Matki wzdychały wtedy i mówiły: „Nie wiem, co by to było, żeby nie ten nasz ogród!”

Taki to był ogród. I jeśli nie było o nim mowy od razu na początku tej całej historii z koralikiem, to po prostu dlatego, że sprawa koralika była niezwykła i niespodziewana i już riie było czasu na omawianie innych spraw. A teraz już właśnie pbra, aby mówić o ogrodzie, bo tam powędrowali Piotr i Karolcia.

Piotr i Karolcia tak byli zamyśleni i przejęci sprawą błędnięcia koralika, że nawet nie zauważyli, że na siatce otaczającej ogród wisi jakieś ogłoszenie i że stoi przy nim gromadka dzieci i dorosłych. Po prostu, nie zważając na nic, weszli do ogrodu i od razu poszli w stronę alejki, gdzie stała kamienna ławeczka. Tam zawsze było najmniej dzieci i tam można było najspokojniej pomówić o tak poważnej sprawie, jak ta.

Gdy usiedli i zobaczyli, że w tej chwili nikt nie przechodzi alejką, Piotr poprosił:

— Pozwól, niech jeszcze raz zobaczę, czy naprawdę jest już taki błąd.

— Popatrz!

— Zdaje mi się, że rzeczywiście jest dużo bledszy — powiedział Piotr po chwili.

— A widzisz — westchnęła smutnie Karolcia — biedactwo! Strasznie mi go żal!

— Nie wiem, czy będziemy mogli jeszcze o coś go poprosić! — Piotr był załamany.

— Chyba że o coś niezmiernie ważnego. Ale takiego naj-najważniejszego.

— Oczywiście, że tylko w takim wypadku — zgodził się Piotr.

— Tylko że tyle jest spraw niezmiernie ważnych.

— No pewnie! Chciałam na przykład mieć nową lalkę!...

— Wiesz? Takie głupstwa!

— Wcale nie żadne głupstwa! A poza tym koralik jest mój.

— No twój, twój — westchnął Piotr — ale przecież ja dla siebie nic nie chcę, ja tylko mówię, że nawet jeśli idzie o ciebie, to lalka nie jest najważniejszą rzeczą. Bo lalkę zawsze można kupić! No nie?

— Można — Karolcia z westchnieniem schowała pudełko z koralikiem do kieszeni — pewnie, że można. Toteż ja wcale nie o takich rzeczach tak naprawdę myślę. O tej lalce to tak powiedziałam, bez namysłu. Ale jeślibym się namysliła, to prosiłabym o coś o wiele ważniejszego.

— Hm! Z tą niewidzialnością to była pyszna zabawa! — mruknął z uznaniem Piotr i aż się uśmiechnął do wspomnień poprzedniego dnia.

— Jak myślisz — dodał po chwili — czy od takiej niewidzialności to on bardzo blednie?

— Nie jestem pewna, myślę, że może nawet nie tak bardzo, ale przecież nie możemy ciągle być niewidzialni.

— Ale gdyby to było potrzebne do czegoś niezmiernie, ale to niezmiernie ważnego — to chyba moglibyśmy, co?

— No pewnie, że dla bardzo ważnej rzeczy to moglibyśmy.

— Ale na razie o nic nie będziemy prosić — postanowił Piotr.

— Dopóki nie stanie się coś nadzwyczajnego, prawda? A teraz, wiesz co? Chodźmy na zjeżdżalnię!

— Nie mogę — przypomniała sobie Karolcia — mam dziś na

sobie nową sukienkę, ciotka Agata bardzo by się gniewała, jeślibym ją od razu zabrudziła.

— To wobec tego chodźmy na huśtawki!

— Świetnie! Tylko nie podbijaj zanadto!

— Ojej, boisz się?

— Właśnie że wcale się nie boję, tylko że wtedy mogłoby mi wyskoczyć z kieszeni moje pudełeczko z koralikiem.

— Aha! Racja. Będziemy uważać.

Gdy wyszli na placyk z huśtawkami, zastali już tam Leszka i Janię, a potem zara^ przyszły Dorota i Agasia. Za nimi przywłókł się Waldek. Ale jakiś był dziwny — wcale się nie wyglupiał ani nie zaczepiał po swojemu wszystkich, tak jak to on potrafi, tylko stał zagapiony, a potem zwiesił głowę i przysiadł z boku.

— No co, Leszek? Huśtamy się? — spytał wesoło Piotr.

— Huśtamy się — kiwnął głową Leszek. Ale jakoś tak bez zapału. Jakby był senny albo bardzo zmartwiony.

— No! Jania! — komenderował dalej Piotr — siadaj po jednej stronie z Leszkiem, a ja z Karolcią po drugiej — zobaczycie, jak się dziś wyhuśtamy za wszystkie czasy! Leszek, coś ty taki dzisiaj dziwny! Gniewasz się czy co? No gadaj, bracie!

— Co mam się gniewać — wzruszył ramionami Leszek. — Tylko mi smutno. A ty się nie martwisz, co?

— Martwię się. Ale skąd ty wiesz, czym się martwię? — zdziwił się Piotr. Czyżby Leszek w jakikolwiek sposób dowiedział się czegoś o koraliku? Piotr spojrzał na Karolcię, ale Karolcia rozmawiała akurat z Janią.

— Jak to nie wiem, czym się martwisz — oburzył się Leszek.

— Wszyscy na całej ulicy tym się martwią.

— Jak to? Jak to: się martwią? — wyjąkał zdumiony Piotr.

— No pewnie. Bo wszystkim żal, że już tu nie będziemy więcej przychodzić.

Leszek był rozgoryczony.

— No pewnie, jak kto wyjedzie na wakacje, to i tak będzie sobie używał. Ale jak kto nie wyjeżdża przez całe lato, to co? Tu było pysznie! Jeszcze lepiej niż na wsi nawet. Bo i bawić się mogłeś, i do domu blisko. I mama się o nas nie martwiła! A tak

to co?

— Jak to: co?! Nic nie rozumiem — otworzył oczy Piotr. — Nic nie wiem, o czym mówisz!

— Ojej, nieprzytomny jesteś czy co?! Czytać zapomniałeś?

— Nie, nie zapomniałem — zaprzeczył gwałtownie Piotr. — Co opowiadasz takie głupstwa, lepiej mów od razu, o co chodzi.

— Jak to: o co chodzi? Jak ogród jutro zamkną, to już będziesz wiedział, o co chodzi! Ostatni raz dziś, bracie, tu się bawimy, a ten się pyta, o co chodzi!

— Jak to: ostatni raz? — zdumiała się Karolcia. — Co to znaczy?

— Co to znaczy, co to znaczy?, — przedrzeźniał Leszek.

Nigdy taki nie był, nie wiadomo, co mu się stało.

— Leszek, Jania, mówcie zaraz, co się stało? Dlaczego mówisz, że ostatni raz?

— Chodź, to sam zobaczysz — powiedział na to Leszek, zeskoczył z huśtawki, na której przysiadł, chwycił Piotra za rękę i pociągnął aż do wyjścia. Tu znów stała gromadka ludzi, którzy czytali przybite do drewnianej tablicy ogłoszenie. Za chłopcami biegła Karolcia, ciągnąc za sobą Janię.

— Czytajcie! — powiedział dramatycznie Leszek.

Od dnia 15 lipca ogród zostanie zamknięty.

Na placu tym zbudowana będzie wielka restauracja.

Podpisano: Prezydent Miasta.

— Od piętnastego lipca, to znaczy od kiedy? — spytała Karolcia.

— Nie Wiecie od kiedy? — oburzyła się jakaś mamusia, która trzymała za rękę dwoje dzieci. — Od piętnastego, to znaczy od jutra. To znaczy, że już od jutra moje dzieciaki nie będą miały gdzie się bawić!

— He, he, ale będzie można wstąpić na dobry obiadek — wtrącił jakiś grubas. Ale kobiety zakrzyczyły go.

— Moje dzieci też będą musiały przez cały sierpień biegać po brudnym, ciasnym podwórku! — wołała któraś. — Co to za zarządzenie, moja pani, które dzieci krzywdzi!

— I gdzie teraz pójda te nasze dzieciaki? — oburzył się jakiś tatuś. — Mój chłopak chciałby cały dzień bawić się w Indian. A czy można bawić się dobrze w Indian w mieszkaniu?

— Nie można, skądże! — odpowiedzieli wszyscy.

— To co na to poradzimy? — spytała jakaś pani z małym dzieckiem w wózek.

— Jak to: co? Trzeba by do Prezydenta pójść i powiedzieć mu o tym! — odpowiedziało kilka osób.

— A gdzie jest ten Prezydent?

— Pewnie w Ratuszu — powiedziała jakaś staruszka, która odprowadzała do ogrodu swojego małego wnuczka.

— Tak, ale czy nas wpuszczą do Ratusza? — spytał jakiś chudy pan w okularach. — Słyszałem, że bardzo trudno jest dostać się do Prezydenta.

— Podobno trzeba przejść przez sto siedemnaście pokoi! — poufnie szeptała pewna grubiutka paniusia z dzieckiem na rękę. — Słyszałam o tym od mojej ciotki, która sprząta niektóre z tych pokoi. W każdym z nich siedzi co najmniej jeden urzędnik, ale często jest ich dwóch albo trzech. Wszyscy oni po kolei pytają, po co się idzie do Prezydenta. Albo nawet każą pisać to na dużym arkuszu papieru.

— Bez kleksów i bez błędów, bo inaczej nie przyjmują — wtrącił chudy pan w okularach.

— Tak, a poza tym trzeba, żeby do takiego zapisanego papieru, który nazywa się podaniem, były jeszcze załączniki.

— A co to są załączniki? — zainteresowała się Karolcia.

— Takie różne rzeczy, które się załącza do tego podania — wyjaśniała dalej grubiutka paniusia z dzieckiem.

— No dobrze — wtrącił teraz Piotr — jakby już ktoś napisał takie podanie bez błędu za pomocą słownika ortograficznego, to co?

— Jak to: co? — oburzył się ktoś.

— To co by było? Toby Prezydent je przeczytał?

— Aha! Zaraz przeczytał! A przedtem jeszcze jest sekretarz albo sekretarka. A może niejedna! I woźni też są, i w ogóle może akurat być jakieś posiedzenie i Prezydent w ogóle może nie mieć czasu!

— Tak, tak — wszyscy teraz stali zasmuceni i kiwali głowami. Bo co tu zrobić, żeby ten ogród zachować? W końcu tak się smutnie wszystkim zrobiło, że mamy zaczęły pochlipywać, a dziewczynki to już nawet głośno płakać. Staruszek z wnuczką udawał, że ma kaszel, a chudy pan w okularach chustkę z kieszeni wydobyl i coś tam mruczał, że mu piasek niby wpadł do oka. Chłopcy trzymali się jako tako, ale też im było niewesoło. Wreszcie któraś mama powiedziała:

— Pobawcie się jeszcze, dzieci kochane! Tylko przez dzisiejszy dzień ten ogród jest wasz.

Zegar na pobliskiej wieży wybił właśnie jakąś godzinę.

— A która to już? — ktoś spytał.

— Dziesięć naliczyłam — odpowiedziała mama niemowlęcia — to znaczy dziesiąta.

— Dziesiąta — powtórzyli Piotr i Karolcia. — Dziesiąta!

CZERWONY SAMOCHÓD PO RAZ PIERWSZY

Stali zasmuceni tak jak wszyscy. Ale po chwili Piotr chwycił Karolcię za rękę i szepnął:

— Musimy zaraz naradzić się i coś postanowić.

— Ale co mamy postanowić?

— Jak to: co? No z tym ogrodem...

— Myślisz, że koralik mógłby... — zawahała się Karolcia.

— Ojej, jaka ty jesteś dziecinna! Nie mówię przecież, żeby koralik coś takiego zrobił, żeby na przykład zamiast restauracji znów był ogród, bo to byłoby na nic. Bo mogliby przecież taki ogród znów zniszczyć i znów postawić restaurację, i tak w kółko.

— No, to o co będziemy prosić koralik? — zapytała Karolcia.

— Nie wiem, ile jeszcze razy można go prosić, bo sam widziałeś, jaki jest błądy.

— Jeśli chcesz tylko coś zupełnie dziecinnego dla siebie, to proszę cię, proś — powiedział z goryczą Piotr.

— Coś ty! Piotrek! — oburzyła się Karolcia. — Wcale nic dla siebie nie chcę. Przecież ja wiem, że ten ogród to najważniejsza rzecz teraz — bo to dla wszystkich dzieci. No chyba, żeby był jeszcze taki choć troszkę niebieściutki, tobym może o coś poprosiła. Ale daję ci słowo, że nie myślę o żadnych głupstwach!

— To dobrze — kiwnął głową Piotr. — Ale pomyślmy, co możemy zrobić. Czy ty rozumiesz, że my jesteśmy jedynymi ludźmi

— to znaczy, chciałem powiedzieć dziećmi, które mogą coś pomóc w tej sprawie?

— Kiedy wszyscy mówili, że tylko Prezydent Miasta może pomóc...

— Ojej! No mówili, mówili, bo wiadomo, że on może jeden jedyny wydać takie zarządzenie. Ale żeby je wydał, trzeba z nim

przedtem o tym porozmawiać.

— To kto ma rozmawiać?

— Boże, jaka ty jesteś dziecinna, Karolciu! Mnie się zdaje, że tylko my możemy z nim o tym porozmawiać.

— Ależ ja nie potrafię!

— Ja też nie, ale musimy!

— To poprośmy o to koralik. — Karolcia jest bardzo zadowolona z tego pomysłu. — Może on by porozmawiał?

— Karolciu, co ty? — denerwuje się Piotr. — Jakże koralik będzie rozmawiał. No, pomyśl tylko!...

— Rzeczywiście — wzdycha Karolcia — masz rację! To co zrobimy?

— Co? Pójdziemy do Prezydenta Miasta i wytłumaczymy mu, żeby tę restaurację budowali sobie gdzie indziej!

— Masz świetne pomysły — zachwyciła się Karolcia.

Ale już po chwili znów zaczyna się martwić: — Ale jak my to zrobimy?!

— Ba, musimy to jakoś wymyślić.

— Tak, a słyszałeś przecież o tych stu siedemnastu pokojach i o tych urzędnikach, i o tym pisaniu podania czy jak tam, i o tym sekretarzu czy sekretarce...

— Ale przecież w tym nam pomoże koralik! No, nie rób takiej zdziwionej miny, Karolciu. Koralik pomoże nam dostać się do Prezydenta, rozumiesz?

— Rozumiem — zgodnie przytaknęła Karolcia, chociaż tak naprawdę to niewiele rozumiała.

— Czy zaraz mamy stać się niewidzialni? — spytała.

— Skądże znowu! — zaprotestował Piotr. — Nie wiadomo, czy akurat to będzie potrzebne. Spróbujemy najpierw o własnych siłach. Myślę, że musimy koniecznie jak najprędzej dostać się do Ratusza.

— To chodźmy zaraz — zgodziła się Karolcia.

Oczywiście, że tym razem, nie chcąc już nadużywać sił koralika, pojechali najzwyczajniej pod słońcem autobusem na Stary Rynek, gdzie stał wielki Ratusz. Przy ogromnej bramie czuwał strażnik miejski w paradnym, starodawnym stroju i spoglądał niezmiennie srogo na każdego, kto miał zamiar

dostać się do gmachu.

— Ja się bardzo boję tego strażnika — wyznała Karolcia — za nic na świecie nie przejdę obok niego. Spójrz tylko, jaki on jest zły!

— Ja bym przeszedł, wcale się nie boję!

— Ale ty jesteś chwalipięta! Na pewno byś nie przeszedł.

— Ja chwalipięta? Ja bym nie przeszedł? — zaperzył się Piotr.

— Poczekaj, zaraz zobaczysz! — i ruszył śmiało naprzód. Ale strażnik natychmiast go zatrzymał.

— Hej, mały, a ty dokąd? Zmykaj stąd, pókim dobry.

— Idę do pana Prezydenta Miasta w niezmiernie ważnej sprawie — oświadczył Piotr zadzierając głowę do góry dla dodania sobie wzrostu i ważności.

Ale strażnik wcale się tym nie przejął. Poruszył groźnie wąsiskami i ryknął:

— Zjeżdżaj mi stąd, smarkaczu, pókiś cały! Patrzcie go! Interes ma do Prezydenta Miasta!

— A mam! — tupnął nogą Piotr. Dla wszelkiej pewności stał teraz trochę dalej od strażnika, ale nie dawał za wygraną.

— Cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha! — śmiał się strażnik. — Interes do Prezydenta! A to dobre!

— Dobre, niedobre, ale mam interes!

— Oooo! Patrzcie! Nie widać, a słyszać — drwił strażnik — ale dosyć już żartów! Bo jak się zdenerwuję, to ci zaraz przyłożę!

— Proszę mnie natychmiast wpuścić! — powiedział teraz z mocą Piotr — ja muszę wejść i załatwić niezmiernie ważną sprawę.

— A ja ci mówię, że nie nie załatwisz, pęta! — wrzasnął strażnik i paradną halabardą, którą trzymał w rękę, zamierzył się na Piotra.

— A ja mówię, że załatwię — powtórzył Piotr. — I jak już załatwię, to panu będzie wstyd, że pan tnnie nie chciał wpuścić.

— Dosyć tego gadania, zmiataj, łobuzie!

— Nie jestem żadnym łobuzem — oburzył się Piotr. Karolcia też była oburzona i wołała ile sił:

— To nieprawda, nieprawda! Piotr nie jest łobuzem! Proszę nas wpuścić w ważnej sprawie!

— Jeśli się stąd zaraz nie wyniesiecie, to każę was zamknąć w areszcie! — wrzasnął w odpowiedzi strażnik.

Tak, jasne było, że strażnik za nic na świecie nie wpuści ich do pana Prezydenta Miasta. A cóż dopiero tych stu siedemnastu urzędników? I podanie w dodatku! Oczywiście, że trzeba będzie uciec się do pomocy koralika.

— Ale zrobiliśmy wszystko, co było można, aby załatwić to bez jego pomocy — powiedział Piotr. — Jeśli jednak nie można — musimy go o coś poprosić.

— Czy chcesz, żebyśmy znów byli niewidzialni?! — spytała Karolcia.

— Hm, już ci mówiłem, że nie wiem, czy to będzie dobrze. Bo jak przekonamy Prezydenta, jeśli będziemy niewidzialni?!

— Ale możemy być niewidzialni tylko po to, żeby wejść do niego...

— Boję się, czy on wtedy uwierzy, że jesteśmy prawdziwi — Piotr zmarszczył brwi i zastanawiał się — ale rzeczywiście, zdaje mi się, że nie ma innej rady.

Wobec tego Karolcia wyjęła szybko z kieszeni pudełeczko z koralikiem. Na swoim posłaniu z watki błękitniał jak niezabudka.

— Koraliczku kochany — szepnęła Karolcia — ty rozumiesz, że sprawa jest ważna. I proszę cię, żebyś tak bardzo szybko nie bladł!

Gdy po chwili, już zupełnie niewidzialni, mijali wartownika, bardzo chciało im się śmiać, bo Piotr ani rusz nie mógł wytrzymać, żeby nie pociągnąć za połę jego paradnego munduru.

— Rety! Co to? — zdenerwował się wartownik. — Jakoś mi się zdawało, że mnie ktoś zaczepił! — I zaniepokojony zaczął się oglądać \vokoło. A Piotr łaps! — chwycił strażnika za halabardę i naprawdę zupełnie niechcący wyrwał mu ją z ręki.. Nie dlatego, żeby znów był taki okropnie silny, tylko dlatego, że ten wartownik wcale a wcale tego się nie spodziewał. Ale to jeszcze nic, że mu wyrwał z ręki — najgorsze było to, że wyglądało to tak, jakby halabarda sama teraz ruszyła na wartownika. Teraz się dopiero na dobre przestraszył. Oczy wybałuszył, usta

otworzył i przez chwilę nie mógł słowa przemówić. Bardzo to było śmieszne i Piotr miał ochotę jeszcze trochę strachu mu napędzić, ale zaraz przypomniał sobie, że przecież mają iść w niezmiernie ważnej sprawie do samego Prezydenta Miasta. Powędrowali więc dalej przez ogromne podwórze, na którym rzędem stały piękne auta.

— Kto tymi autami jeździ? — spytała Karolcia.

— Pewnie Prezydent.

— Ale wszystkimi nie może jeździć!

— To może o każdej porze dnia jeździ innym — zastanawiał się Piotr — albo może jacyś goście do niego przyjechali. Wiesz, tacy ważni, na przykład z innych miast. Ale piękne auta. Czekaaj, obejrzymy je trochę. Ja ci zaraz powiem, jakie to są marki.

Tak, tak, Piotr znał się na tym doskonale. Nie można powiedzieć. Ale najwięcej podobało mu się jedno bardzo duże i długie auto, polakierowane na czerwono i czarno.

— W dodatku jest ono bardzo łatwe do prowadzenia. Rozumiesz, Karolciu? Tu się włącza bieg, tu naciska starter. Czekaaj! Zaraz spróbujemy! Wsiadaj!

Auto było puste i pokusa była zbyt wielka. Trzaśnięcie drzwiczek — i oto Karolcia siedzi już na skórzanych, czerwonych poduszkach, a Piotr majstruje przy złocisto-czerwonej kierownicy.

— Ciekaw jestem... ciekaw jestem — zastanawia się Piotr — po co tu jest ten kluczyk? Zaraz zobaczymy...

Naraz auto poderwało się i motor okropnie zawarczał. Piotr na szczęście szybko ujął kierownicę i skręcił w bok, bo byliby wpadli na ścianę.

— Ach, ach! — krzyknęła przestraszona Karolcia.

— Nic się nie bój — uspokoił ją Piotr — znam się trochę na tym! Nic się nie stało! — Ale naprawdę to był też przestraszony i nie wiedział, co robić dalej.

— Kiedy ja już wolę wysiąść — powiedziała Karolcia — naprawdę wolę wysiąść!

— Poczekaj, niech tylko uda mi się zastopować. Diabelska maszyna! Nie wiem, co to jest z tym motorem.

Tymczasem na podwórzu wypadł rozgniewany kierowca czerwonego wozu.

— Kto do licha rusza wóz pana Prezydenta? — wrzasnął. Ale zaraz skamieniał ze zdumienia. Czerwony samochód był pusty. Zupełnie pusty. Motor warczał, a wóz podskakiwał dziwnie.

Kierowca przetarł oczy i spojrzał jeszcze raz. Nie, wzrok go nie mylił — w aucie nikogo nie było.

— Co to jest? — mruknął.

— Niech pan lepiej powie, jak się zatrzymuje — zapytał naraz nie wiadomo skąd jakiś głos. Głos brzmiał trochę dziecinnie, ale kierowca nie zastanawiał się wcale nad tym, tylko prędko odpowiedział:

— Przecież trzeba wyłączyć motor.

— Tam gdzie jest kluczyk? — zapytał znów głos.

— No pewnie, że tu. O rety — czy mi się to śni, czy co? Z kim ja rozmawiam?! — Biedny kierowca już zupełnie nie wiedział, co się z nim dzieje.

Naraz auto zatrzymało się. Drzwiczki otworzyły się z trzaskiem i z trzaskiem zamknęły. To niewidzialni Piotr i Karolcia szybko wysiedli z samochodu.

— Zwariowałem, nic innego — mruknął kierowca. — Motor warczy, drzwiczki otwierają się i zamykają — co to ma znaczyć?

Ale Piotr i Karolcia nie słuchali już dłużej jego rozważań — musieli przecież koniecznie dostać się do samego Prezydenta Miasta. Piotr odczuwał nawet poważną skruchę, że to przez niego stracili tyle czasu. Toteż tłumaczył się przed Karolcią:

— Rozumiesz, przecież nie mogłem wiedzieć, że w takich nowych modelach jest trochę inaczej.

KAMIENNE LWY!

Kiedy już ochłonęli po przygodzie z autem, Piotr oświadczył ze skrucą:

— Trochę czasu straciliśmy niepotrzebnie. Chodźmy, wejście główne jest z drugiej strony.

— Skąd wiesz? — zdziwiła się Karolcia.

— O, tu jest napis i strzałka — wskazał Piotr. — Chodźmy jak najprędzej.

Zupełnie zapomnieli o tym, że są ciągle jeszcze niewidzialni, i biegnąc narażali się na to, że przechodnie wpadali na nich albo potrącali. Wskazówki na ratuszowym zegarze posuwały się powoli naprzód.

Wreszcie stanęli przed głównym wejściem. Przy żelaznej, ogromnej bramie czuwały dwa zupełnie nieduże kamienne lwy, a w głębi widać było marmurowe schody i drzewka w drewnianych kubbach. I właśnie w tej chwili, gdy zdyszani jeszcze od pośpiechu mieli zamiar nacisnąć wielką, wykutą w kształcie liścia żelazną klamkę, wąsaty strażnik przekreślił w zamku ze zgrzytem ogromny klucz. Brama była zamknięta.

— Wszystko stracone! Nie dostaniemy się teraz! — Karolcia załamała z rozpaczą ręce.

— Może jeszcze jakoś nam się uda — próbował pocieszyć ją Piotr, usiłując jednocześnie przecisnąć się między żelaznymi prętami ogrodzenia. Ale mimo to, że był szczupły, szpary między prętami okazały się zbyt wąskie. Nawet Karolcia nie mogła się tam zmieścić.

— Tędy nie przejdziemy! Ale spróbujemy jeszcze innej drogi — i Piotr, nie dając za wygraną, próbował teraz wspiąć się po śliskich, gładkich prętach żelaznego ogrodzenia. Ale i to się nie udawało.

— Nie dasz rady! Ach, nie dasz rady! — zaszlochała Karolcia. Była już nie tylko zmartwiona, ale i zmęczona tym wszystkim.

Oparła się o jednego z kamiennych lwów czuwających przy bramie i ocierała łzy spływające po jej niewidzialnej twarzy.

Naraz poczuła na ręce dotknięcie czegoś ciepłego, trochę szorstkiego i wilgotnego. Odsłoniła zapłakane oczy i z niepomiernym zdumieniem zobaczyła, że to kamienny lew przestał być kamienny i że to on polizał ją po ręce. Wcale go się nie bała. Był nieduży i wydawał się bardzo łagodny i przyjazny.

Gdy merdał uprzejmie ogonem, tak jak to robią na powitanie psy — ten drugi, który czuwał po drugiej stronie bramy, przeciągał się z przyjemnością, mrużąc:

— Och! Ależ ścierpły mi łapy!

— No pewnie — powiedział na to pierwszy lew — tyle czasu leżeć bez ruchu!

— Czy... czy wy jesteście zaczarowane? — spytał z zachwytem Piotr.

— Oczywiście, że zaczarowane — odpowiedziały zgodnie lwy.

— Jesteśmy jak najbardziej zaczarowane i wobec tego możecie na nas liczyć. Wiemy o was wszystko i wiemy, że macie niebieski koralik.

— Czy pomożecie nam się dostać do samego Prezydenta Miasta?

— To właśnie miałem przede wszystkim na myśli — odpowiedział uprzejmie lew, który się skarżył, że mu ścierpły łapy. — Po prostu chyba najlepiej będzie, jeśli nie tracąc czasu wsiądziecie nam na grzbiety i pojedziemy do Prezydenta.

— Czy mówisz to poważnie? — Piotr pełen był jeszcze niedowierzania.

— Ogromnie nie lubię powtarzać dwa razy tego, co już raz powiedziałem — mruknął lew. — Chyba że pozwolisz, abym jeszcze podrapał się trochę w ucho. Tak dawno się nie drapałem.

— Owszem, bardzo proszę, jeśli tylko masz ochotę.

— Dziękuję — lew kiwnął łbem, a potem podrapawszy się dokładnie w lewe ucho, przeciągnął się raz jeszcze i zachęcił Piotra:

— No, wsiadaj na mnie. Nic się nie bój, nie spadniesz. A ty,



mała, wsiadaj na mojego brata. Możecie dla pewności trzymać się grzywy. No co, już gotowi?

— Gotowi — odpowiedzieli zgodnie Piotr i Karolcia.

— No to hop!

I obydwaj lwy natychmiast lekko i zgrabnie przeskoczyły przez ogrodzenie. Przysiadły potem na strzyżonym trawniku i rozejrzały się. W pobliżu umieszczona była biała tabliczka z napisem:

„Nie deptać trawników”.

— Nie deptać, to nie deptać — mruknęły trochę niezadowolone — miałyśmy ogromną ochotę pobiegać, chociaż przez chwilę, po prawdziwej trawie. Ale trudno!

I pobiegły szeroką, wysypaną żwirem aleją do marmurowych schodów, po których wchodziło się do Ratusza.

— Ale jak dostaniemy się do środka, kiedy kryształowe drzwi są zamknięte! Sama słyszałam, jak je zamykali — przypomniała

sobie naraz Karolcia. Ale lwy wcale się tym nie przejmowały. Po prostu, najzwyczajniej w świecie, jeden z nich dotknął tylko drzwi łapą i zaraz same otworzyły się szeroko, z lekkim tylko skrzypnięciem.

— A czy wiecie, gdzie teraz trzeba iść, żeby znaleźć Prezydenta? — zaniepokoił się Piotr. — Tyle tu jest korytarzy i tyle pokoi.

— Powiedziałyśmy wam przecież, że jesteśmy zaczarowane i że wszystko wiemy — zniecierpliwiał się pierwszy lew (był to ten, który polizał Karolcię po rękę). — Wiemy wszystko.

— Czy wiecie też o niebieskim koraliku?

— Cóż za niemądre pytanie — parsknął z kolei drugi lew, ten, któremu ścierpły łapy — już ci to mówiłem: przecież gdybyście nie byli posiadaczami błękitnego koralika, nie moglibyśmy ruszyć się sprzed bramy. Ale cicho! Zdaje mi się, że ktoś idzie! Musimy znów udawać, że jesteśmy z kamienia.

— A my? — zdenerwowali się Piotr i Karolcia.

— Przecież jesteście niewidzialni!

— Prawda! A wy nie umiecie być niewidzialne?

— Właśnie że nie — mruknęły lwy, ale już zupełnie cicho, gdyż właśnie nadchodził jakiś woźny z tacą, na której stało bardzo dużo szklanek z herbatą. Przysiadły więc na czerwonym dywanie, pod jakąś palmą, i znieruchomiały.

Tymczasem woźny zatrzymał się i popatrzył przez chwilę na przycupnięte, kamienne zwierzęta. Tak się zdziwił ich widokiem, że aż postawił tacę na okrągłym stole, który znajdował się w pobliżu, i wolną ręką podrapał się po łysinie. Potem podparł się pod boki i zaczął głośno rozważać:

— Ejże! Czy to mi się zdaje, czy nie zdaje? Ale chyba jako żywo nigdy tu nie było w hallu kamiennych lwów. A może mi się zwiduje? A może to mi si-ę śni?

Uszczypnął się najpierw w rękę, a potem, żeby się jeszcze bardziej upewnić, czy .o jest sen, czy nie sen, dotknął jednego z kamiennych lwów. Potem chwycił tacę i pobiegł w drugą stronę, widząc, żeby kogoś sprowadzić. To była oczywiście okazja, żeby jak najszybciej opuścić hall. Toteż po chwili, w długim korytarzu, wyłożonym czerwonym chodnikiem,

rozległo się ciche stąpanie lwich łap. I prawdopodobnie nic by się było nie stało po drodze nadzwyczajnego, gdyby nie to, że akurat w tej chwili uchyliły się drzwi jednego z pokoi i na korytarz wyrzała jakaś urzędniczka. Była to grubiutka pani w okularach.

— Ratunku! — krzyknęła przeraźliwie. — Ratunku! Jakieś zwierzęta biegają po korytarzu!

— Jakie zwierzęta? — zaczęli zaraz dopytywać się urzędnicy, którzy wybiegli z sąsiednich pokoi.

— Nie jestem pewna. Może to psy! Albo może ogromne koty — denerwowała się urzędniczka. — Trzeba sprawdzić! - I rzuciła się w pogoń, a za nią urzędnicy z innych pokoi.

Biegali po wszystkich piętach i wszystkich korytarzach.

Korytarze były bardzo długie i wszyscy zadyszeli się porządnie, jednak nie znaleźli żadnych zwierząt oprócz dwóch kamiennych lwów, które spoczywały przed jakimiś drzwiami.

— Zdawało się pani — śmiali się teraz wszyscy z grubiutkiej urzędniczki w okularach.

— Kiedy przysięgnę na nie wiem co, że mi się nie zdawało — tłumaczyła się zdenerwowana urzędniczka.

— To chyba te kamienne lwy tu biegały — powiedział ktoś na to i zaraz wszyscy zaczęli się śmiać, bo przecież nikt nie przypuszczał, aby kamienne lwy mogły biegać po korytarzach Ratusza.

Wreszcie wszyscy wrócili do swoich pokoi i znów zaległa cisza.

— Teraz już chyba spokojnie dojdziemy do Prezydenta — westchnęły lwy wstając i przeciągając się. — Tylko czy aby w dobrym kierunku biegniemy?

— Chyba tak, patrzcie, tu są poprzybijane strzałki, które na pewno wskazują drogę do samego Prezydenta — Piotr był niezmiernie dumny ze swego odkrycia.

— Rzeczywiście, są strzałki — ucieszyły się lwy — niewątpliwie tędy należy się udać.

I z godnością ruszyły przed siebie.

Wkrótce też, dzięki strzałkom, znaleźli się przed wielkimi, podwójnymi drzwiami, które otworzyły się przy lekkim pchnięciu lwiej łapy. Za drzwiami ukazała się ogromna sala

pełna różnych obrazów i oszklonych szaf. Piotr i Karolcia rozejrzeli się, ale nigdzie nie było widać kogokolwiek, kto mógłby wyglądać na Prezydenta Miasta. Wreszcie w rogu sali dostrzegli jakąś wysoką postać w żelaznej zbroi.

— Może to jest sam pan Prezydent Miasta? — szepnęła Karolcia.

— Coś ty? — zdenerwował się Piotr. — Przecież to jest po prostu pusta zbroja rycerska. Tylko że ty jeszcze jesteś za mała, żeby na tym się znać. Ja się na tym znam doskonale.

— No, to gdzie jest wobec tego sam Prezydent?

— Zaraz, niech się rozejrzę. O rety! Przecież to wcale nie jest żaden gabinet Prezydenta, tylko muzeum. Spójrz!

Karolcia odwróciła się w tę stronę, gdzie wskazywał Piotr, i przeczytała na tabliczce:

*Muzeum miejskie
otwarte jest co dzień od godziny 10 rano.*

— Czyżbyśmy źle trafili? — dopytywał się tymczasem jeden z lwów, drapiąc się tylną łapą za uchem. — Widać strzałki pokazywały drogę do muzeum. — Ale zanim Piotr zdołał mu odpowiedzieć, rozległ się jakiś gwar za drzwiami.

— Musimy znów skamienieć — jęknął z rozpaczą drugi lew — przestańże się już drapać!

Ale niestety już było za późno. I jeden z lwów pozostał z łapą podniesioną do ucha, gdy tymczasem do sali muzeum miejskiego weszła gromadka dzieci z jakąś panią. Była to wycieczka szkolna.

— Jesteśmy w sali rycerskiej, spójrzcie, dzieci — zaczęła objaśniać nauczycielka i zaraz przerwała. Można by powiedzieć, że zaniemówiła ze zdumienia.

— Oooo, ten lew się drapie, proszę pani, on się drapie! — zawołało tymczasem któreś dziecko. A jeszcze inne zapytało:

— Czy lwy mają pchły, proszę pani?

Nie jest zupełnie pewne, co odpowiedziała na to pytanie pani nauczycielka i co się dalej działo w muzeum. Ani Piotr, ani Karolcia nie słyszeli już tego. Nie słyszały już lwy, które

unosząc ich na grzbiecie w paru wspaniałych susach przesadziły całą salę i wpadły na ten sam korytarz, pokryty czerwonym chodnikiem. Biegły potem dalej, szybko, jak najszybciej przed siebie, nie zważając na okrzyki spotykanych po drodze ludzi. Ktoś wołał „ratunku”. Ktoś inny krzyczał:

— Gdzie jest telefon?

Ktoś jeszcze proponował, aby wezwać straż pożarną albo może pogotowie, a jeden pan usiłował nawet z parasolem w ręku dogonić uciekające lwy. Ale oczywiście, że mu się to nie udało.

Wreszcie, zmyliwszy pogoń, lwy wpadły na jeszcze jeden korytarz i zatrzymały się przed drzwiami zasłoniętymi czerwoną portierą. Były to drzwi na samym końcu korytarza i już dalej nie można było uciekać. Wobec tego jeden z lwów nacisnął klamkę i drzwi otworzyły się gościnnie i szeroko.

— Proszę wejść! — powiedział ktoś siedzący za dużym, błyszczącym biurkiem.

PANIE PREZYDENCIE MIASTA!

Ten ktoś siedzący za biurkiem zasłonięty był zupełnie gazetą, którą czytał, i wcale nie było widać, kto to jest.

— Czy myślisz, że to może jest sam Prezydent Miasta? — spytała szeptem Karolcia.

— Nie wiem. Być może.

W tej chwili czytająca osoba za biurkiem poruszyła się i odłożyła gazetę.

— Ratunku! To Filomena! — jęknął cicho Piotr. — Uciekajmy!

Ale już było za późno. Filomena spostrzegła lwy, które zaraz zaczęły udawać, że są skamieniałe, i od razu domyśliła się, że na pewno Piotr i Karolcia są w pobliżu. Bo tylko dzięki mocy niebieskiego koralika mogły ożyć kamienne lwy. A jeśli jest w pobliżu Karolcia — to znaczy, że jest w pobliżu i niebieski koralik! I wobec tego Filomena jednym susem przeskoczyła przez biurko i rzuciła się w stronę lwów. Spiczasty jej nos wydłużył się i zaczerwienił niczym bociani dziób.

— Ha! — wrzasnęła. — Gdzie jest niebieski koralik? Mówcie w tej chwili.

— Nic nie wiemy o niebieskim koraliku — oświadczyły zgodnie lwy.

Było to zresztą kłamstwo, ale kłamstwo szlachetne, mające na celu ocalenie Karolci i koralika. W rezultacie na nic się nie przydało, gdyż Filomena i tak w to nie wierzyła i nie wątpiła ani przez chwilę, że gdzieś w pobliżu musi się znajdować niewidzialna Karolcia. Rozglądała się tylko bacznie, czy nie dostrzeże błękitniejącego koralika,

tak jak wtedy w domu towarowym, kiedy na jedwabnej nitce zwisał z Karolcinej szyi. Wyciągnęła więc swój długi, dziobiasty nos i węszyła nim po całym pokoju, spoglądając przy tym zezem.

Niestety! Koralik, mimo że był schowany w pudełeczku i

razem z pudełeczkiem ukryty w kieszeni Karolcinej sukienki, był widoczny! Świecił słabiutkim, błękitnym światelkiem i wskazywał nieomylnie, gdzie znajduje się Karolcia.

— Ha! — wrzasnęła na ten widok groźnie Filomena. — Mam cię!

— Uciekajmy! — szepnęła przerażona Karolcia. — Uciekajmy!

Dobrze było powiedzieć: uciekajmy! — ale dokąd? Przecież za drzwiami na pewno byli jeszcze ci ludzie, którzy ich przed chwilą gonili. O ucieczce nie mogło być mowy. A tymczasem Filomena nie wiadomo skąd zdobyła parasol i z parasolem w ręce nacierała teraz na biedne lwy. Ryknęły co prawda najgroźniej, jak tylko potrafiły, aby ją przestraszyć, ale niełatwo było to zrobić. Atakowała zaciekle i w pewnej chwili tak mocno trzasnęła parasolem jednego z nich, że aż mu rozkrwawiła nos.

— Ha! — krzyczała przy tym. — Nie umkniecie mi! Muszę odzyskać błękitny koralik!

— Nie odbierzesz przenigdy w świetle błękitnego koralika — odpowiedziały bohaterские lwy. — Nie boimy się twego parasola!

— Zobaczymy! — odgrażała się Filomena. — Kiedy zdobęde błękitny koralik, skamieniejecie już na zawsze! I już nigdy nie będziecie mogły biegać!

Uganiała się teraz za lwami naokoło biurka. Lwy umykały w szalonym pędzie, Piotr i Karolcia trzymali się ich kosmatych grzyw, a Filomena biegła za nimi, wpatrzona w migocący błękitny koralik, zadyszana, z parasolem w ręce.

Naraz do pokoju wszedł jakiś starszy, bardzo miły pan.

Na szczęście lwy spostrzegły go wcześniej, zanim zauważyła jego wejście Filomena, i natychmiast skamieniały.

— Co tu się dzieje? — zapytał ze zdziwieniem starszy pan. —

Co pani się stało, panno Filomeno? Czemu biega pani naokoło mojego biurka? Czy tak powinna się zachowywać sekretarka?

Filomena zatrzymała się w pędzie i od razu stała się grzeczna i potulna. Nos miała teraz o wiele mniej spiczasty, a w rękę zamiast parasola trzymała ołówek. Spytała słodko:

— Słucham, panie Prezydencie. Chciałam właśnie...

— Dziękuję pani, nie jest mi pani teraz potrzebna — przerwał jej pan, który, jak się okazało, był samym Prezydentem Miasta! — Proszę teraz mi nie przeszkadzać, bo muszę pomyśleć o bardzo ważnych sprawach.

— Dobrze, panie Prezydencie — odpowiedziała na to Filomena i ukloniła się tak nisko, że nosem prawie że dotknęła czerwonego dywanu. Spojrzała też ze złością w tę stronę, gdzie w półmroku gabinetu migotał błękitny, upragniony koralik, i pogroziła pięścią skamieniałym lwom. Aż wreszcie, bardzo niechętnie, wyszła, trzasnąwszy lekko drzwiami.

Prezydent Miasta odwrócił się teraz w stronę swojego biurka, gdy naraz z ogromnym zdziwieniem zauważył przycupnięte pod ścianą dwa kamienne lwy.

— A to co? — powiedział ze zdumieniem na głos. — Zdaje mi się, że przedtem nie było tu nigdy żadnych lwów!!!!

— Oczywiście, że nie było ich tu przedtem — wyjaśnił bardzo uprzejmie jakiś cienki głosik — bo to są nasze lwy, panie Prezydencie Miasta. Nie są groźne i są, jak pan widzi, nieduże.



— Czyje lwy?

— Nasze — powtórzył głosik.

— Co za: nasze? — zniecierpliwiał się Prezydent Miasta. — I w ogóle kto ośmielił się tu wejść? Kto tu jest?

— To my...

— Co za: my?

— To my! Karolcia i Piotr! Z Kwiatowej!

Pan Prezydent Miasta rozejrzał się trochę niespokojnie.

— Pan nas nie widzi, bo my jesteśmy niewidzialni — wyjaśniał dalej głosik.

— Niewidzialni?! — zdumiał się Prezydent. — Niewidzialni?

— powtórzył jeszcze raz z niedowierzaniem, ale zarazem i jakby z zachwytem.

— Tak. Jesteśmy jak najbardziej niewidzialni. Zresztą może się pan sam o tym przekonać. Chce pan?

— Proszę bardzo — zgodził się tym razem uprzejmie Prezydent.

— Uwaga! Raz! Dwa! Trzy! — zakomenderował głos.

W tejsze chwili, ku ogromnemu zdumieniu samego pana Prezydenta Miasta, który akurat właśnie zamierzał zapalić papierosa, pudełko z zapalkami uniosło się z biurka do góry, potem jedna zapalka wydobyła się sama z pudełka i potarła o nie. Gdy już się zapaliła, powędrowała w powietrzu w stronę papierosa.

Jednocześnie rozległ się szept:

— Piotrek! Sam wiesz, że nie wolno bawić się zapalkami!

— Nie bądź dziecinna — zabrzmiała również szeptem odpowiedź. — Wiesz, że tu chodzi o niezmiernie ważną rzecz.

— Nic nie rozumiem... — pan Prezydent Miasta wydmuchnął dym przez nos i widać było, że sam nie wie, co ma o tym myśleć. — Nie rozumiem, co to za sztuczki...

— Ależ to nie są żadne sztuczki — zapewnił natychmiast cienki głosik — to naprawdę, proszę pana Prezydenta Miasta.

— Co: naprawdę?

— Naprawdę jesteśmy niewidzialni.

— Strasznie nie lubię, kiedy mi się śnią takie dziwne rzeczy, a ja nie mogę się obudzić — mruknął Prezydent.

— Kiedy to się panu wcale nie śni, proszę pana!

— A czy moglibyście mnie uszczypnąć, żebym był pewien, że to nie jest sen?

— Nnnie, to znaczy nie wiemy, czy można szczypać samego Prezydenta Miasta — wyznał z wahaniem głos.

— Można! — oświadczył mężnie pan Prezydent i wyciągnął rękę, przy czym zdecydowanym ruchem odwinął rękaw marynarki i koszuli. Ledwie to jednak zrobił, krzyknął przeraźliwie:

— Aj! Aj! To boli!

— Ojej! Bardzo pana, panie Prezydencie, przepraszamy! — powiedzieli ciągle niewidzialni Piotr i Karolcia. — Ale, ale to przecież pan sam kazał!...

— Tak, tak, w istocie sam was o to prosiłem — wyznał ze skrucą Prezydent — tak! Zdaje mi się, że wreszcie wam uwierzę. Ale słuchajcie! Czy wy ciągle musicie być niewidzialni? Czy, czy nie mógłbym was zobaczyć? Chociaż na chwilę? Przyznam się, że nie lubię rozmawiać z kimś, kogo nie widzę! Bardzo nie lubię!

Jeszcze Prezydent Miasta nie skończył tych słów, kiedy zobaczył przed sobą Piotra i Karolcię.

— Więc, więc to wy byliście przed chwilą niewidzialni? — zdumiał się ogromnie.

— Tak, proszę pana Prezydenta — kiwnęła główką Karolcia i ukloniła się najgrzeczniej, jak tylko potrafiła, a Piotr szurgnął z szacunkiem nogami.

— To jak wy się nazywacie?

— Piotr i Karolcia.

— Aha! Piotr i Karolcia. No, dobrze, ale dlaczego byliście niewidzialni?

— No, bo przecież inaczej nie moglibyśmy się dostać do pana w niezmiernie ważnej sprawie — wyjaśnił Piotr.

— I pilnej! — dodała Karolcia.

— A w dodatku, gdybyśmy byli widzialni, toby nas dogoniła Filomena.

— A cóż znowu chcecie od Filomeny? Filomena nie jest co prawda najsympatyczniejsza, ale jest dobrą sekretarką.

— Jest raczej czarownicą — sprostował Piotr.

— Co ty mówisz? — znów się zdziwił pan Prezydent Miasta.

— Być może, być może. Już, zdaje mi się, ktoś mi o tym wspominał. Ale czego właściwie ode mnie chcecie? — I po coście tu przyszli?

— Właściwie przyjechaliśmy. Na lwach! — uczciwie wyznał Piotr. — A dlatego musieliśmy przyjechać na lwach, że brama była zamknięta.

— Nic nie rozumiem! Na kamiennych lwach?

— Oczywiście, przecież one wcale nie są tak wciąż kamienne! Tylko proszę się ich nie bać, one nie zrobią nic złego — uspokajał Prezydenta Piotr, gdy tymczasem Karolcia poprosiła lwy, aby znów przestały być kamienne. Lwy oczywiście ochoczo skorzystały z tego zaproszenia i przeciągały się prostując zdrętwiałe łapy.

— Jak pan widzi, są zupełnie przyjemne.

— Tak, tak, rzeczywiście — zgodził się Prezydent trochę niepewnie.

— To są naprawdę wyjątkowo łagodne lwy — zapewniała gorąco Karolcia. — I mimo że nie są przecież takie duże jak prawdziwe lwy, są nadzwyczaj dzielne. Proszę mi wierzyć.

— Aaaa... czy czasem nie są głodne? — przypomniał sobie nieco trwożnie Prezydent Miasta.

Ale lwy zaraz gwałtownie zaprzeczyły — nie, wcale nie są głodne i w ogóle raczej odzwyczaiły się od jedzenia. Bo czym może się odżywiać taki mały, kamienny lew?

— Tak, tak, zapewne — grzecznie przyznał im rację Prezydent

— ja tylko tak wspomniałem, bo właśnie zdaje mi się, że jestem głodny. Nie zdążyłem zjeść śniadania.

— Ach, panie Prezydencie — ucieszyła się Karolcia — czy mogę pana poczęstować? Ciotka Agata przygotowała dla nas pyszne śniadanie. Czy zje pan je razem z nami?

I wyciągnęła natychmiast z kieszeni paczkę ze śniadaniem. Były tam również, jak wiadomo, znane już serduszka czekoladowe.

— No, dobrze — zgodził się pan Prezydent Miasta — a przez ten czas opowiecie mi, po coście tu właściwie przyszli.

RZECZY CHYBA JESZCZE DZIWNIEJSZE

— Przepyszne! — oświadczył pan Prezydent Miasta. Skończył właśnie jeść czekoladowe serduszko i wyglądał na niezmiernie zadowolonego. — A co do tej sprawy, o której mi opowiadaliście, to sądzę, że powinienem sam to jakoś zbadać. Ale jak to zrobić?

— Niech pan zaraz pojedzie z nami do naszego ogrodu! — zaproponowała Karolcia.

— Hm! — zastanowił się Prezydent. — Chętnie bym to zrobił. Ale, jak wiecie, czeka na mnie cała masa obowiązków niezmiernie ważnych. Chociaż, muszę przyznać, że wasza sprawa też wydaje mi się niezmiernie ważna.

— No właśnie! Oczywiście, że jest niezmiernie ważna! — krzyknął z zapalem Piotr. — Niech pan zaraz z nami jedzie. Nie warto się nawet nad tym zastanawiać.

— Ba! — westchnął smutnie Prezydent. — Ale czy mi się uda stąd wyjść? Moja sekretarka na to się nie zgodzi!

— Filomena?

— Tak jest! Filomena! Nie myślcie, że ona tylko wobec was jest taka niedobra. Na mnie też ciągle krzyczy i na nic mi nie pozwala. Nie pozwala mi przyjmować tych ludzi, którzy przychodzą do mnie z różnymi sprawami, wszystkich wyrzuca za drzwi!

— Ale pan przecież wcale nie musi się pytać jej o pozwolenie, aby stąd wyjść! — krzyknęli Piotr i Karolcia.

— Jak to: nie muszę! Jeśli będę chciał wyjść, to ona zaraz powie, że przedtem muszę podpisać trzysta siedemdziesiąt sześć bardzo ważnych dokumentów. A ja tak nie lubię podpisywać dokumentów.

Tak, sprawa nie była łatwa. Filomena mogła nie dopuścić do tego, aby Prezydent Miasta wydalili się ze swego gabinetu bez jej wiedzy. A oczywiście nie było mowy o tym, aby mogła

wiedzieć, dokąd ma zamiar się udać.

— A gdyby jej też dać czekoladowe serduszko — zaproponował naraz Piotr — może by się zmieniła?

— To jest myśl — ucieszył się Prezydent, chociaż wcale a wcale nie wiedział, jakie jest naprawdę działanie czekoladowych serduszek.

Ale Karolcia zaraz zaprotestowała i przypomniała Piotrowi, że przecież w domu towarowym Filomena połknęła co najmniej pół tuzina serduszek i wcale a wcale to jej nie pomogło.

— Prawda! — zmartwił się Piotr. — To co wobec tego zrobimy? Aha, już wiem! Pan musi stąd uciec, panie Prezydencie!

— Uciec?! — zawołał z zachwytem Prezydent. — To byłoby cudowne! Ale czy to się uda?!

— Czemu ma się nie udać? Musimy tylko pomyśleć, jak to zrobić! Już wiem — Piotr aż podskoczył z zachwytu — Karolciu! Musimy tak zrobić, aby pan Prezydent Miasta mógł stąd spokojnie uciec. Już mam plan. Wspaniały plan! Wszystko się uda! Ręczę za to.

— Ale jaki plan? — denerwowali się Karolcia i Prezydent.

— Zrobimy tak: otworzymy drzwi... wsiądziemy na nasze lwy i wypadniemy szybko, jak najszybciej na korytarz...

— Tak, a przez ten czas wpadnie tu Filomena... — zmartwił się Prezydent.

— Wcale nie wpadnie! — bronił swojego planu Piotr. — Wcale nie wpadnie, bo po co ma wpadać. Na pewno rzuci się w pogoń za nami! My naturalnie będziemy uciekać, jak tylko da się najszybciej, a tymczasem... a tymczasem pan Prezydent Miasta, korzystając z tego, że Filomena będzie zajęta pościgiem za nami, szybko, ale to jak najszybciej wymknie się przez otwarte drzwi. Ona pewno pana wtedy nie zauważy.

— E, to niemożliwe — smutnie pokręcił głową Prezydent — a co będzie, jeśli mnie ktoś spotka biegnącego przez korytarz?

— Hm! To prawda — zastanowił się Piotr. — Ale już wiem, wyjdzie pan przez okno! Tu chyba nie jest bardzo wysoko?

I zaraz podbiegł do okna, żeby się przekonać. Ale niestety!

Okno znajdowało się na pierwszym piętrze i nie było mowy, aby skakać z takiej wysokości. Co robić?

— Co robić? — powtórzył smutnie Prezydent. Był tak zmartwiony, że Karolci i Piotrowi było go niezmiernie żal.

— Już wiem! — zawołał naraz Prezydent. — Czy nie mógłbym stać się niewidzialnym tak jak wy? Tak chociaż na trochę? Bo oczywiście, nie mówię, żeby tak na zawsze, ale tak na trochę! Boże! Zawsze o tym marzyłem! Ach! Karolciu, nie mogę w to uwierzyć! Bo wtedy byłoby łatwiej uciec.

Teraz Piotr z Karolcią odbyli błyskawiczną naradę — czy można tak ryzykować? Czy można znów prosić koralik o przysługę? Przecież na pewno znów zblednie. Ale nie ma innego wyjścia.

— Więc stanie się tak, że może pan być na trochę niewidzialny. Przecież i tak muszę poprosić koraliczek, żebyśmy my — to znaczy Piotr i ja — znów stali się niewidzialni, bo przecież inaczej stąd się nie wydostaniemy. A jeśli będę prosiła o to dla nas, to już od razu poproszę, żeby i pan stał się niewidzialny. To się będzie i tak liczyło za jedno życzenie.

— Ach! Jestem taki wzruszony — wyznał Prezydent. — Czasem, kiedy jeszcze byłem małym chłopcem, wyobrażałem sobie, że zdarzy się coś takiego w moim życiu. I zdarzyło się teraz. Ach!

Tymczasem zegar na wieży ratuszowej wybił godzinę dwunastą.

— Już jest południe! — krzyknął Prezydent, policzywszy uderzenia. — Za dwie godziny odbędzie się ogromnie ważne posiedzenie rady miejskiej, na którym muszę być.

— Wobec tego nie mamy czasu do stracenia — zdecydował Piotr. — Karolciu! Musimy znów stać się niewidzialni! I pan Prezydent Miasta też. Musimy więc ułożyć plan ucieczki. Zrobimy tak: ja zrobię coś takiego, żeby Filomena zagapiła się i nie zauważyła, kiedy wy będziecie stąd wychodzić...

— Ale przecież my będziemy niewidzialni — zauważyła Karolcia.

— Niewidzialni, niewidzialni! Oczywiście, że będziemy niewidzialni, ale lwy? Przecież lwy są widzialne, a muszą też

stać się wy dostać.

— Oj, bardzo chętnie — mruknęły teraz zgodnie obydwie lwy, przeciągając się — zupełnie już zdrętwiały nam łapy, a po drugie, zdaje się nam, że w tym dywanie są pchły!

— Cóż znowu! — zaprotestował słabo Prezydent Miasta.

Ale już nie było czasu na dalsze rozmowy na ten temat, bo trzeba było jak najszybciej wy dostać się z gabinetu. Co prawda Prezydent Miasta wcale nie chciał wierzyć, że naprawdę jest niewidzialny, ale po solennym zapewnieniu Karolci i Piotra uwierzył im w końcu i Piotr mógł wreszcie, z tysiącnymi ostrożnościami, otworzyć drzwi i przejść do drugiego pokoju, który nazywano sekretariatem i w którym za dużym biurkiem siedziała zamyślona Filomena. Widocznie knuła coś niedobrego, bo nos miała znów niezmiernie wydłużony i patrzyła zezem. Ale Piotr był nieustraszony. Skoczył szybko i niby wiatr zdmuchnął z biurka wszystkie papiery na nim leżące. Filomena nawet się nie domyśliła, że tym razem jest to sprawa jej dwojga przeciwników. Była zupełnie przekonana, że to naprawdę wiatr, i rzuciła się na ziemię, aby szybko pozbierać wszystkie papierki. A tymczasem przez uchylone drzwi wymknęły się obydwie lwy, a wraz z nimi niewidzialni Karolcia i Prezydent Miasta. Co prawda Prezydent miał szaloną ochotę splatać jakiegoś figla Filomenie, ale nie było na to czasu. Musiało mu więc wystarczyć to, że zamachał jednym papierkiem przed jej nosem, a ona była najpewniejsza, że to podmuch wiatru.

— A więc jestem naprawdę niewidzialny — szepnął wtedy w upojeniu Prezydent. — Spełniło się marzenie mojego życia!

Kiedy Piotr dogonił ich na korytarzu, odetchnęli wszyscy. Mogli teraz swobodnie pojechać na Kwiatową. Ale, ba! Po drodze musieli się co chwila zatrzymywać, gdyż Prezydent chciał się koniecznie nacieszyć swoją niewidzialnością.

— Wybaczcie — powiedział — ale muszę koniecznie zrobić coś takiego, na co mam zawsze szaloną ochotę, a czego nie wypada mi robić, ponieważ jestem Prezydentem Miasta.

I zanim się spostrzegli, szybko wbiegł po marmurowych schodach na pierwsze piętro, a potem zręcznie zjechał po

poręczy.

Musieli też zatrzymać się przy sali muzealnej, gdzie Prezydent przywdział zbroję i dusząc się ze śmiechu, przemaszerował w niej przez całą salę, ku wielkiemu zdziwieniu zwiedzających. Nie mógł też się powstrzymać, mimo błagań Karolci i Piotra, aby nie ślizgać się po wyfroterowanej posadzce w hallu Ratusza.

Byłby w ten sposób przewrócił swojego zastępcę, grubiutkiego pana Wiceprezydenta Miasta.

W końcu jednak, wobec przypomnień, że czas ucieka, zgodził się jechać na Kwiatową.

— Ba, ale jak pojedziemy? — zastanowił się naraz. — Już wiem! Wsiądę na jednego z lwów.

— Za nic na świecie — zaprotestowały zgodnie obydwie zwierzęta — jesteśmy przecież zupełnie małe lwy i nie udźwigniemy takiego ciężaru!

— I nogi będą się panu wlokły po ziemi — poparła lwy Karolcia.

— A czy wasz koraliczek nie mógłby zrobić tego, abyśmy od razu znaleźli się w ogrodzie? — zaproponował Prezydent.

— Nie — powiedział po zastanowieniu Piotr — nie możemy jeszcze tego żądać od koraliczka. I tak jest już bardzo błady. Zresztą my sami też musimy pokonać jakieś trudności.

— Szkoda, że od razu, zamiast niewidzialności, nie poprosiliśmy o przeniesienie do ogrodu — dodała Karolcia.

— Ale też szkoda byłoby nie być niewidzialnym chociaż raz w życiu — westchnął Prezydent. — Jedźmy wobec tego autem. Jakże jednak pojedę autem, kiedy jestem niewidzialny! Przecież szofer nie będzie chciał jechać z niewidzialnym Prezydentem. Chyba żebym sam poprowadził auto!

To był doskonały pomysł. Należało tylko szybko dostać się do czerwonego auta samego Prezydenta, korzystając z tego, że kierowca poszedł do bufetu napić się wody sodowej.

— Szybko, szybko! Nie ma ani chwili do stracenia. — Prezydent zasiadł przy kierownicy, Piotr obok niego, a Karolcia z lwami z tyłu. Nie było bowiem nawet mowy o pozostawieniu lwów przy bramie. Koniecznie chciały zobaczyć ogród i

zjeżdżalnię oraz przejechać się na karuzeli.

— No, to jazda!

Motor zawarczał i zanim ktokolwiek się zorientował, czerwone auto wyjechało z podwórza.

STOP! ZATRZYMAĆ WÓZ!

Prezydent prowadził samochód doskonale. Zgrabnie wymijali autobusy i tramwaje, okrążali place i właśnie mieli przejechać jeden z pięciu mostów miejskich, gdy naraz ktoś na ulicy przystanął i zawołał:

— Patrzcie na to czerwone auto! Jedzie bez kierowcy! A w aucie jadą dwa małe lwy!

Teraz już wszyscy patrzyli na czerwony wóz, w którym odbywała się tymczasem błyskawiczna narada: co robić.

— Chyba znów musimy być widzialni! — powiedziała Karolcia. Ale Piotr przeciwstawił się temu.

— Nie możemy znów całej roboty zwać na koralik. Jedźmy dalej!

Ba, dobrze to powiedzieć, ale wykonać znacznie trudniej! Przede wszystkim na skrzyżowaniach ulic i przy krawężnikach gromadziły się tłumy przechodniów: wszyscy koniecznie chcieli zobaczyć auto, które jedzie samo, bez kierowcy, a po drugie, chcieli też na własne oczy obejrzeć jadące autem lwy.

— Zatrzymać auto! Zatrzymać! — zaczęli teraz wołać niektórzy. A inni znów domagali się, aby schwytać lwy.

— Trzeba je oddać do Ogrodu Zoologicznego! — krzyczeli. — Jeszcze się rzucą na kogo!

— Uciekajmy! — błagały lwy. — Wcale nie chcemy dostać się do Ogrodu Zoologicznego.

— Musimy się jakoś przebić — postanowił Piotr.

Prezydent poparł go:

— Postaramy się umknąć — powiedział przez zaciśnięte zęby.

Musiał teraz bardzo uważać — prowadzenie auta w tych warunkach wcale nie było łatwe. Ale Prezydent dawał sobie doskonale radę na wszystkich skrzyżowaniach ulic, gdy naraz na jednym skrzyżowaniu policjant dał znak, aby zatrzymać auto. Ale czy można zatrzymać auto, w którym nie ma nikogo

przy kierownicy? Wobec tego policjant z otwartymi ze zdumienia ustami patrzył tylko za oddalającym się wozem. Po chwili jednak zeskoczył ze swego stanowiska i zaalarmował wszystkie posterunki:

— Uwaga! Czerwone auto pędzi samo przez miasto! Nikogo nie ma przy kierownicy, a w aucie siedzą dwa lwy i okropnie ryczą!

Lwy co prawda wcale nie ryczały, ale policjant powiedział tak, żeby wszystko wyglądało jak najbardziej groźnie.

Alarm oczywiście poskutkował. Natychmiast w całym mieście zaczęły wyć syreny, a przez głośniki ktoś mówił grubym głosem:

— Uwaga! Uwaga! Czerwone auto przebiega ulice miasta i zagraża bezpieczeństwu mieszkańców! A w aucie pełno jest okropnie drapieżnych lwów! Uwaga! Zatrzymać wóz!

— Co teraz zrobimy? — spytał Prezydent. Był po prostu w rozpacz. Bardzo mu się podobała ta wyprawa i wcale nie miał ochoty zatrzymywać się.

— Jedziemy dalej — zdecydowali Piotr i Karolcia.

— Ale co będzie, jeśli złapią nas na skrzyżowaniu ulic, kiedy staniemy w szeregu zatrzymanych pojazdów?

— Czy musimy jechać przez skrzyżowania ulic? — spytał Piotr. — Chyba jest jakaś ulica, która się nie krzyżuje?

— Oczywiście — przypomniał sobie Prezydent. — Sam nawet dokonywałem jej uroczystego otwarcia. To jest autostrada naokoło miasta.

Jeszcze parę ulic, gdzie był mały ruch i prawie wcale nie było posterunków policyjnych, i znaleźli się na gładkiej, szerokiej szosie.

— To właśnie ta autostrada — zawołał Prezydent, który znów odzyskał dobry humor. — Czy chcecie pojeździć trochę naokoło miasta?

— Bardzo chętnie! — odpowiedzieli wszyscy, to znaczy Piotr, Karolcia i oba lwy.

— Bardzo chętnie, ale niezbyt długo, bo przecież jeszcze musimy zdążyć na Kwiatową.

Lwy nawet zaproponowały, aby auto zatrzymało się na

chwilę, żeby mogły pobiegać trochę po trawie i rozprostować łapy, które im porządnie zdrętwiały od tego ciągłego udawania, że są kamienne.

— No dobrze — zgodził się Prezydent — pobiegajcie przez chwilę, ale niedługo!

Lwy, uszczęśliwione swobodą, wyskoczyły z auta, które zatrzymało się na skraju autostrady, i zaczęły dla rozprostowania łap biegać najpierw w kółko, a potem gonić się w ósemki, gdy tymczasem niewidzialna trójka w aucie zastanawiała się, jak teraz najbezpieczniej będzie dojechać na Kwiatową, do ogrodu.

— Mnie się zdaje, że trzeba jechać przed siebie, a potem musimy skręcić w lewo — radził Piotr.

Rada była może i dobra, gdyby nie to, że na szosie rozległy się naraz głośne sygnały samochodowe.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nadjeżdżało jakieś auto. Czyżby pogoń wpadła na ich trop?

W istocie, jakiś wóz pędził z tak niezwykłą szybkością, że zaledwie zdążyli ukryć w pobliskich zaroślach czerwone auto. Najgorsze jednak było to, że rozbawione lwy nie zdążyły się ukryć. Jeden z nich biegał właśnie beztrósco po zielonej trawie z zerwanym kwiatkiem w pysku, a drugi przewrócił się na grzbiet i machał wesoło łapami, gdy nadjechał pościg.

Było to ogromne auto, z którego natychmiast wyskoczyła Filomena ze swoim ogromnym parasolem, a za nią kilku strażników miejskich. Zaledwie cała trójka — to znaczy Piotr, Karolcia i Prezydent — zdążyła nadbiec z pomocą, Filomena i strażnicy już dopadli biednych lwów. Zaczęła się walka — ale była to walka nierówna. Co prawda lwy broniły się bohatersko, ale były to przecież zupełnie małe lwy, a strażnicy przywieźli z sobą ogromną siatkę z niezmiernie grubych sznurów i właśnie w tę siatkę lwy schwyтали. Potem załadowali je na wóz i wśród okrzyków Filomeny: „Do Zoo! Trzeba je zawieźć do Zoo!” — odjechali szybko w kierunku Ogrodu Zoologicznego.

— Trzeba je ratować! — krzyknęła Karolcia, gdy tylko odjechali. — Musimy ocalić lwy!

— To nie ulega wątpliwości! — zgodził się Prezydent. — Tylko

jak to zrobimy? Zdaje się, że musiałbym wystosować pismo do dyrekcji Ogrodu Zoologicznego. W tym wypadku sprawa może się przewlec i nie wiem, czy prędzej jak za rok zdołamy je uwolnić!

Był bardzo tym zmartwiony.

— Za rok?! — krzyknęła Karolcia. — To niemożliwe!

— Musimy je uwolnić natychmiast — zdecydował Piotr — siadajmy do auta i jedźmy! Panie Prezydencie, proszę siadać przy kierownicy!

— Ale dokąd mamy pojechać?

— Do Zoo — odpowiedział Piotr.

DZIWNE ZWIEŻĘ

Czerwone auto cicho zatrzymało się przed bocznym wejściem do Ogrodu Zoologicznego. Tak bowiem zostało postanowione, że aby nie zwracać uwagi, wóz Prezydenta stanie skromnie przy tym wejściu, przez które wchodzili tylko pracownicy Zoo. A zaś cała trójka

— Prezydent, Karolcia i Piotr — i tak przecież wejdzie bez żadnego trudu. Nie darmo byli niewidzialni.

Udało się im doskonale. Szli teraz jeszcze pustymi alejkami, gdyż tłum zwiedzających przybywał zazwyczaj dopiero po południu, i zastanawiali się, gdzie też mogą być ich lwy. Mijali klatki z małpkami i rodziną niedźwiedzi, nie zważali na wrzaski w ptaszami, tylko rozglądali się pilnie, czy nie zauważą czegoś, co by wskazywało na to, gdzie umieszczono ich przyjaciół. Wreszcie na końcu ogrodu w pobliżu sadzawki, w której mieszkały foki, zauważyli podejrzaną ruch.

— Biegnijmy tam — zakomenderował Piotr i puścili się pędem.

Ale Prezydent w żadnym wypadku nie mógł za nimi nadążyć.

— Trochę już zapomniałem biegać — tłumaczył się z zawstydzeniem. — Czy nie możemy iść nieco wolniej?

— A przez ten czas zamkną na zawsze nasze lwy! — denerwował się Piotr. Jednocześnie jednak żał mu się zrobiło Prezydenta, który był ogromnie zadyszany.

— Już wiem! — krzyknął naraz Piotr. Obok przechodziły właśnie dwa wielbłądy, które dozorca puścił luzem, żeby trochę zażyły swobody. — Pojedziemy tam na wielbłądach! Proszę wsiadać na pierwszego, panie Prezydencie, a my z Karolcią pojedziemy na tym drugim!

— Nie wiem, czy potrafię — wyjąkał Prezydent. Ale widać było od razu, że ma ogromną ochotę przejechać się na wielbłądzie.

— Przez całe życie o tym marzyłem, żeby kiedyś osiąść takiego rumaka pustyni!

— Na pewno pan potrafi — dodali mu odwagi Piotr i Karolcia i pomogli wgramolić się na grzbiet zwierzęcia, które zresztą okazało się łagodne i cierpliwe. Sami umieścili się na drugim wielbłądzie.

— A teraz jazda! — zakomenderował Piotr.

Całe szczęście, że personel Zoo był w tej chwili zajęty oglądaniem dziwnej odmiany małych lwów przywiezionych przez Filomenę! Nikt więc nie zwrócił uwagi na galopujące wielbłądy, na których nie było widać jeźdźców; ci, jak wiadomo, byli niewidzialni. Gdy zatrzymali się w pobliżu zbiegowiska, dobiegły ich piskliwe okrzyki Filomeny:

— Trzeba te lwy zaraz zamknąć w klatce! Są ogromnie niebezpieczne! Uważajcie!

I widać było, jak podskakiwała, wymachując parasolem. Nos znów miała wydłużony i mocno zaczerwieniony na czubku.

— Co wobec tego zrobimy? — zapytał Prezydent. I dodał z westchnieniem: — Nigdy nie lubiłem tej Filomeny, ale nie wiedziałem, że to taka niedobra czarownica.

— Jeszcze jak niedobra! — mruknęła Karolcia

Nie było jednak czasu na zastanawianie się nad charakterem Filomeny. Trzeba było przede wszystkim zastanowić się nad tym, jak uratować i wyzwolić lwy.

Siedziały już właśnie w wielkiej klatce. Były zrozpaczone i widocznie straciły nadzieję na uwolnienie.

— Trzeba za wszelką cenę otworzyć klatkę — szepnęła Karolcia.

— Zaraz to zrobimy! — oświadczył beztrwosko Piotr. — Mam doskonały pomysł.

— E, boję się, że żaden pomysł tu nie pomoże!

— Poczekaj, najpierw posłuchaj mojego planu. Musimy przede wszystkim postarać się o to, by ten cały tłum ludzi oddalił się od klatki, a potem...

— No dobrze spróbuję — zgodziła się po chwili Karolcia, wysłuchawszy dalszego ciągu planu Piotra. — Ja postaram się jakoś odciągnąć ich uwagę, a tymczasem ty i pan Prezydent uwolnijcie lwy.

— Zobaczysz, że to się uda! — zawołał Piotr z otuchą. — Tylko jazda do roboty!

Po małej chwili zaczęły rzeczywiście dziać się w Zoo najzupełniej dziwne rzeczy. Tak dziwne, że zgromadzeni przy klatce nowych lwów dozorczy, a nawet i sam pan dyrektor Zoo, nigdy nic podobnego w życiu nie widzieli. Bowiem ni stąd, ni zowąd na wybiegu dla słońi wszystkie słonie ustawiły się rzędem, podniosły trąby do góry i zaczęły po swojemu trąbić. Każdy się z łatwością domyślił, że to była zmowa. Karolcia pobiegła do słońi i namówiła je, aby zachowywały się w ten sposób. Czar bowiem niebieskiego koralika miał tę właściwość, że chociaż ktoś był niewidzialny dla ludzi, to jednak był zupełnie widzialny dla zwierząt, które doskonale znają się na czarodziejskich historiach. I oczywiście słonie doskonale wiedziały, kim jest Filomena.

Ryk słońi zaniepokoił wszystkich pracowników Zoo. Z dyrektorem na czele pobiegli natychmiast w tamtą stronę. W dodatku do ryku słońi przyłączyły swój głos foki, które, jak wiadomo, po pierwsze, są bardzo mądre, a po drugie, bardzo śmiesznie kwiczą. Jedna z nich, aby dłużej utrzymać uwagę dyrektora i dozorców, zaczęła jak szalona fikać koziołki w wodzie.

Dyrektor teraz zupełnie nie wiedział, co robić. Nie zajmował się już małymi lewkami dziwnej rasy, przywiezionymi przez zwariowaną paniusię z parasolem. „A może słonie i foki niebezpiecznie zachorowały?” — pomyślał i zaraz kazał wezwać lekarza zwierząt.

W ten sposób Filomena została sama jedna przy klatce, uczepiona jej prętów. Usiłowała dosięgnąć lwów parasolem i wrzeszczała jakieś niemądre słowa. A była tym tak zajęta, iż wcale nie zauważyła, że małe małpki, kapucynki, którym, ze względu na ich poprawne zachowanie, wolno było pozostawać na swobodzie, siedzą na pobliskim drzewie i przyglądają się jej z zainteresowaniem. Nie ulegało wątpliwości, że wiedziały, kim jest naprawdę Filomena, i że natychmiast postanowiły dopomóc lwom oraz Karolci i Piotrowi.

Korzystając więc z tego, że dyrektor Zoo i dozorczy pobiegli do

słoni i fok, małpki zaatakowały Filomenę. Stało się to niemal błyskawicznie. Dwie z nich zeskoczyły z drzewa wprost na śmieszny kapelusz Filomeny i wsunęły go jej tak mocno na oczy, że nic nie widziała. Zgodny chór słoni zagłuszył zupełnie w tej chwili okrzyki Filomeny, miotającej się i rozżłoszczonej jak stado najgorszych tygrysów.

Korzystając z tego kapucynki szybko otworzyły klatkę. Tego tylko było trzeba! Lewki szybko i zwinnie wymknęły się z niej.

— Biegnijcie zaraz, jak najszybciej, razem z Prezydentem do auta, a my was dogonimy — rozkazał Piotr.

— A co będzie z wami? — martwiły się lwy.

— Damy sobie radę, nie bójcie się! Przecież jesteśmy niewidzialni! Uciekajcie jak najprędzej!

Wobec tego lwy razem z samym Prezydentem pobiegły w stronę bocznego wyjścia, a Karolcia i Piotr zajęli się Filomeną. Wepchnięcie jej teraz do pustej klatki było dziełem jednej chwili. Kapucynki, zachwycone tym pomysłem, skakały z gałęzi na gałąź, piszcząc z uciechy tak przeraźliwie, że Piotr zaczął się obawiać, czy teraz one nie ściągną na siebie uwagi dozorców. Ale na szczęście lwy i foki dostarczały im jeszcze dosyć zajęcia.



Po zamknięciu klatki Filomena zdołała wreszcie ściągnąć kapelusz i gdy spostrzegła, że jest uwięziona, zawyła dziko:

— Ha! Nie ujdziecie mej pomście! — i rzuciła się, aby wyłamać kraty.

Jednak to się jej nie udało. Próbowwała zresztą rozgryźć żelazne pręty, ale i ten pomysł był jak najzupełniej chybiony. Skakała więc tylko ze złości aż po sam wierzch klatki i rozczapierzała swe szponia-ste palce — wyglądała jak bardzo dziwny stwór. A potem wskoczyła na zawieszoną w klatce suchą gałąź i zaczęła się o nią nogami. Nos jej się przy tym znów ogromnie wydłużył, a włosy miała rozczochrane i zjeżone.

— Uciekajmy teraz! — zawołała Karolcia.

— Uciekajmy! — powtórzył Piotr. Ale jeszcze przedtem na białej deseczce, która była zawieszona na klatce, przekreślił napisane tam słowo „lw” i napisał znaną w kieszeni czerwoną kredką:

dziwne zwiędę

Potem, żegnani okrzykami kapucynek, dosiedli znów wielbłądów i błyskawicznie znaleźli się przy bramie, gdzie czekał na nich niewidzialny Prezydent z lwami, które tym razem przezornie ukryte były w bagażniku.

— No, to jedźmy! — zawołał na ich widok Prezydent i nacisnął starter.

— Zaraz, chwileczkę — zatrzymał go Piotr — zdaje mi się, że coś jest nie w porządku...

— Cóż znowu się stało? — zaniepokoił się Prezydent.

— Zdaje mi się, że w tym napisie, który zostawiłem na klatce z Filomeną, zrobiłem błąd. Jak się pisze „zwierzę”, proszę pana, „ż” czy „rz”?

— Zaraz, zaraz — zaczął się zastanawiać Prezydent — zdaje mi się jednak, że...

Ale nie zdążył dokończyć, gdyż znów przeraźliwie zawyły syreny.

— Uciekajmy! — wrzasnął wobec tego Piotr i czerwony wóz błyskawicznie ruszył z miejsca.

NARESZCIE W OGRODZIE!

— To tu! — radośnie zawołała Karolcia, gdy czerwone auto zatrzymało się przed bramą ogrodu.

Przybyli w ostatniej chwili, gdy właśnie jacyś dwaj urzędnicy ogromnym kluczem mieli zamiar zamknąć bramę ogrodu.

— Nie ma rady, musisz nas teraz odczarować, Karolciu — oświadczył Piotr.

— Szkoda! — żałośnie westchnął Prezydent.

— Nie ma rady, panie Prezydencie — powiedziała Karolcia z łagodną perswazją. — Oto nadeszła chwila, kiedy pan musi użyć swojej powagi i zabronić im zamknięcia bramy. A przecież nie usłuchają niewidzialnego człowieka!

— Kto wie? — zastanowił się Prezydent. — Spróbujemy! — I szybko wyskoczył z auta. Podbiegł do urzędnika z kluczem i powiedział bardzo grubym głosem:

— Zabraniam panu zamykać ogród.

— A jakim prawem pan mi zabrania? — powiedział na to urzędnik, nie odwracając głowy, gdyż był w tej chwili niezmiernie zajęty. Klucz za nic w świecie nie chciał się przekręcić w dziurce.

— Zabraniam, bo mam prawo — zdenerwował się Prezydent.

— E, panie, co mi pan zawraca głowę — gadał dalej urzędnik, męcząc się z kluczem.

Ciągle nie odwracał głowy i wcale nie wiedział, z kim rozmawia. Dopiero kiedy odwrócił się i nikogo przy sobie nie zobaczył, zdziwił się porządnie.

— Hm, ale to nie jest sposób załatwiania sprawy — szepnął do Piotra zatroskany Prezydent. — Zdaje mi się, że jednak będziemy musieli teraz zrezygnować z niewidzialności, jeśli mam jakowi uratować ten wasz ogród. Jak myślicie? Co, Karolciu?

— Myślimy, że chyba trzeba zrezygnować — przyznali z

westchnieniem. — Trochę szkoda, ale musimy!

— Ale pan Prezydent ma rację — poparł Prezydenta Piotr. — I teraz już nie chodzi o naszą przyjemność, tylko o rzecz poważną, o ogród dla dzieci z całej naszej dzielnicy.

— Właśnie, właśnie! Bardzo ładnie to powiedziałeś — Prezydent kiwał przytakująco głową. — Ha! Trudno! Stajemy się znów widzialni, co?

— Więc stajemy się znów widzialni — uroczyście powtórzyła Karolcia — zrób to, kochany koraliczku.

I w tejże chwili usłyszeli dziki okrzyk radości. To cała banda dzieciaków z podwórza witała ich w ten sposób.

— Karolcia! Piotrek! Jak to dobrze, że jesteście! Pomóżcie nam coś wymyślić, żeby ogrodu nie zamknęli! Widzicie? Naprawdę chcą zamknąć! Co to będzie? Gdzie się będziemy bawić! Wymyślcie coś, znajdźcie na to radę.

— Już znaleźliśmy — odpowiedzieli na to z dumą Piotr i Karolcia. — Sam pan prezydent Miasta przyjechał, żeby sprawę ująć w swe ręce. To jest właśnie pan Prezydent, a to jest jego czerwony samochód.

— Pan pozwoli, że się przedstawię i podziękuję w imieniu wszystkich dzieci z naszych bloków — powiedział na to uroczyście Leszek. Bo Leszek to jest taki, że zawsze wie, jak się zachować, żeby było jakoś poważnie i elegancko.

— Bardzo mi przyjemnie — odpowiedział na to pan Prezydent Miasta i podał mu rękę. A potem odwrócił się do tego urzędnika od klucza i zwrócił mu łagodnie uwagę: — Proszę, aby ogród pozostał otwarty. W tej sprawie wydam odpowiednie zarządzenie na piśmie.

— Tak jest, panie Prezydencie Miasta — uklonił się grzecznie urzędnik i zaraz sobie poszedł.

— A co mam teraz dalej zrobić? — spytał Piotra Prezydent.

— Myślę, że powinien pan obejrzeć ten ogród dokładniej — doradził Piotr. — Niech pan tylko zobaczy, jak tu fajnie, to znaczy, chciałem powiedzieć: przyjemnie.

— Fajnie, mówisz? — zastanowił się Prezydent. — Hm, to może warto obejrzeć. To chodźmy do ogrodu.

I w tej chwili, kiedy właśnie Piotr i Karolcia z wszelkimi hono-



rami prowadzili samego Prezydenta do ogrodu, rozległ się żalosny ryk.

— A to co? — wszyscy się trochę przestraszyli. Jania nawet miała ochotę rozplakać się.

Ale Piotr i Karolcia od razu wiedzieli, co to za głosy.

— Zapomnieliśmy o naszych lwach! — zawołali i pobiegli co prędzej otworzyć bagażnik, z którego wydobyli obydwu, trochę pogniecione, ale za to uszczęśliwione lwy.

— Nie bójcie się! — zawołali do dzieci. — To są takie niezupełnie prawdziwe lwy. Same się przekonacie, jakie są miłe! I jak widzicie, są zupełnie nieduże.

— Czy można je pogłaskać? — zaryzykowała Dorota, która zawsze była dość odważna.

— Naturalnie! — zachęcała Karolcia. — Są naprawdę niezwykle łagodne i niezmiernie do nas przywiązane. — I na poparcie swoich słów oraz wyrażenia wdzięczności lwom za ich

wierność Karolcia po kolei pocałowała obydwu w rozczochrane łby.

Teraz już wszyscy wyruszyli do ogrodu.

To dopiero była zabawa! Jeździło się na karuzeli i na kołobiegu! Huśtawki fruwały w górę, zdawało się, że sięgną nieba! Na zjeżdżalni był ruch bez przerwy, ale bez awantur! O, co to, to nie! Nic takiego się nie zdarzyło. Wszyscy stali porządnie w kolejce! Karolcia stała za Agatą, za nią Dorota, za Dorotą Leszek, za Leszkiem sam pan Prezydent Miasta! Tak jest! Tak jest, moi złoci! Sam pan Prezydent Miasta! Nie chciał opuścić żadnej kolejki! Tak mu się to podobało. A na karuzeli ile się wyjeździł! Ze względu na to, że był honorowym gościem, jeździł nawet trochę częściej niż wszyscy. Ale należało mu się to! Tak wszyscy w ogrodzie uchwalili.

A lwy? Też we wszystkim brały udział. Ale najwięcej podobała im się karuzela. Tak im się podobała, że postanowiły stamtąd już nie schodzić. Przeprowadziły zresztą poważną i zasadniczą rozmowę na ten temat z Karolcią, Piotrem i samym Prezydentem Miasta. Zaczęły od tego, że już nie mają ochoty być kamiennymi lwami i sterczeć przed Ratuszem. I że wołałyby dostać jakąś inną posadę, bardziej wesołą — właśnie na przykład w ogrodzie. W takim ogrodzie, gdzie są różne zabawy dla dzieci.

— Czy nie mogłybyśmy zostać teraz lwami drewnianymi na karuzeli? — spytały Prezydenta.

I Prezydent od razu się na to zgodził. Racja! Niech zostaną lwami na karuzeli. To się dopiero wyjeżdża, za wszystkie czasy!

— Sam bym tu chętnie przyjął jakąś posadę — powiedział kiwając głową — ale cóż, nie mogę! Muszę jeszcze ciągle być tym Prezydentem Miasta.

A potem spojrzał na zegarek i zaraz sobie przypomniał, że już jest okropnie późno i że zaraz zacznie się posiedzenie rady miejskiej.

— Muszę być tam, żeby uroczyste raz na zawsze załatwić sprawę waszego ogrodu — powiedział na pożegnanie, kiedy Karolcia, Piotr i wszystkie dzieci, razem z lwami, odprowadziły go do auta.

— Muszę, żeby tam nie wiem co, wytłumaczyć radnym, że ten ogród to niezmiernie ważna rzecz. A restaurację można zbudować trochę dalej! Prawda?

— Prawda! — zgodzili się wszyscy.

— No to żegnajcie i bawcie się dobrze! — i Prezydent już, już miał nacisnąć starter, kiedy naraz wyskoczył ze swego czerwonego auta.

— Nie — powiedział. — Nie! Niech i to auto tu zostanie. Chcę, żeby jeździły nim dzieci i żeby się wesoło przy tym bawiły.

To mówiąc ujął pod pachy pewnego małego chłopaczka, który mieszkał w sąsiednich blokach, i posadził go przy kierownicy, a obok usadowił Janię.

— Co sądzisz o tym, Karolciu? — spytał. — Ty, ja i Piotr wiemy, że niektóre rzeczy przestaną być takie, jak są w tej chwili, to znaczy zupełnie niezwykle i zupełnie zaczarowane. Ale chciałbym, żeby zostały trochę niezwykle i trochę zaczarowane. Czy myślisz, że to jest możliwe?

— Myślę, że jest możliwe — odpowiedziała po namyśle.

— To dobrze — ucieszył się pan Prezydent Miasta. — Niech wobec tego na pamiatkę tej całej historii i naszych wspólnych przygód zostaną tu te trochę zaczarowane lwy i trochę zaczarowany samochód. Żegnajcie!

Uklonił się elegancko kapeluszem. Ale właściwie dzieci już nie było, bo pobiegły wszystkie za czerwonym samochodem, który stał się naraz zupełnie mały, i kierowany przez chłopczyka z sąsiedniego bloku, jechał teraz szybko aleją ogrodu. Tylko Karolcia i Piotr zostali przed bramą.

— Żegnajcie! — powtórzył pan Prezydent Miasta. I wskoczył do przejeżdżającego właśnie autobusu. A że autobus był bardzo przepełniony, więc stał na stopniu i odwróciwszy się w stronę Karolci i Piotra, uniósł jeszcze raz kapelusz i uśmiechnął się serdecznie. A oni odpowiedzieli mu skinieniem podniesionych rąk.

NIE BLEDNIJ, KORALICZKU!

Stali tak, zapatrzeni w znikający w oddali autobus, gdy naraz ktoś przy nich powiedział:

— Czas na obiad, dzieci!

— Na obiad? Na obiad? — r powtórzyli. Bo bardzo dziwne im się wydało, że istnieją takie rzeczy jak obiad. Wśród tych wszystkich przygód zapomnieli zupełnie o tym, że się jada obiady.

— No, dzieci, czas do domu — powtórzyła mama Piotra, która stała obok nich — biegnijcie szybko. Ale co wam jest? Takie macie buzie rozpalone! Piotr, wyglądasz na bardzo zmęczonego! A Karolcia tak samo! Co wyście dziś w tym ogrodzie robili? Pewno za dużo było biegania! Co?

— Może troszkę za dużo — przyznał Piotr, patrząc na Karolcię. Bo rzeczywiście było, a było tego biegania, tylko że mama wcale a wcale nie wiedziała, o jakie to bieganie naprawdę chodziło. I poza tym była to święta, najbardziej tajemnicza tajemnica.

— Nikomu nic o tym wszystkim nie mów — syknął jeszcze Piotr do Karolci najciszej, jak mógł.

— Co ty, Piotr? Za kogo mnie masz? — szepnęła oburzona podobnym podejrzeniem Karolcia.

— Co wy tam znów się naradzacie, dzieci? O co chodzi?

— Ee, nic takiego — wykrętnie rąruknął Piotr.

— No to biegnijcie szybko do domu! Już naprawdę jest późno! Mama Karolci też się niepokoi.

— Dobrze! Idziemy — zgodził się niechętnie Piotr.

Ujął Karolcię za rękę i pędem pobiegli w stronę ich bloków.

Naraz Karolcia przystanąła.

— No, co się stało?! Zmęczyłaś się? — zaniepokoił się Piotr.

— Nie, nie — pokręciła głową Karolcia. — Tylko słuchaj, czy to wszystko, to wszystko, co było, to działo się naprawdę?... Czy

lwy...

Ale nie otrzymała już odpowiedzi od Piotra, gdyż w tej chwili spotkali tatusia. Szedł śpiesznie do domu, w rękę trzymał gazetę, którą wesoło wymachiwał, i wołał do nich:

— Karolciu, co tu robisz? Na pewno ciotka Agata już czeka na nas z obiadem. A Piotr? Może przyjdiesz do nas?

— Dziękuję, przyjdę po obiedzie — uklonił się Piotr.

— Przyjdź! — zapraszał tatuś. — Dziś w popołudniowej gazecie jest coś, co was na pewno zainteresuje!

— A co takiego? — zaniepokoił się. — Czyżby...

— No, zobaczcie tylko tytuły: „Ogród dla dzieci będzie od jutra otwarty na zawsze! Sam Prezydent Miasta odwiedza ogród przy ulicy Kwiatowej. Lwy na ulicach naszego miasta! W Zoo dzieją się dziwne rzeczy! Czy słonie zachorowały?! Nieznane zwierzę w klatce lwów!” To chyba dosyć niezwykłych rzeczy, prawda, dzieci?

— Tak! — szepnęli Piotr i Karolcia. A Karolcia nawet zbladła z wrażenia, bo już wcale nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. A Piotr powiedział po cichu:

— Już sam nie wiem, jak to było naprawdę...

Tymczasem w domu ciotka Agata już czekała na wszystkich z obiadem i nawet sama nakryła do stołu, chociaż zazwyczaj należało to do obowiązków Karolci.

— Myj zaraz ręce! — zawołała swoim zwyczajem do Karolci.

— Wyobrażam sobie, jakie masz czarne. Tyle godzin nie pokazywałaś się. Gdzie ty byłaś, Karolciu?

— W Zoo... — powiedziała Karolcia, ale zaraz poprawiła się — to znaczy, byłam w ogrodzie. Po prostu w ogrodzie. — I poszła szybko do łazienki, aby uniknąć dalszych wypytywań.

Ręce były rzeczywiście porządnie brudne. Dokładniej powiedziawszy — czarne. Na prawej było zadrapanie. Nie wiadomo skąd — może to niechący zrobił który z lwów, a może było to dzieło Filomeny? A koraliczek? Prawda, jak wygląda koraliczek w tej chwili?! Karolcia teraz szybko wyciera ręce i wyjmując z kieszeni pudełeczko z koraliczkiem. Otwiera je ostrożnie... O koraliczku kochany!

Trzeba teraz prawdzie spojrzeć prosto w oczy. Koraliczek jest

blady. Nie jest jeszcze zupełnie przezroczysty, jeszcze się trochę niebieszczy — ale na ile tam tej niebieskości wystarczy? Może najwyżej na dwa życzenia? A może tylko na jedno bardzo ważne... i duże...

— Koraliczku, nie blednij! — prosi go cichutko Karolcia, ale już ciotka Agata puka do łazienki.

— Karolciu! Proszę siadać do stołu.

— Zaraz idę! — woła Karolcia i postanawia, że teraz musi być bardzo, ale to bardzo, no, wprost okropnie ostrożna, bo to już pewnie będzie jedyne i ostatnie życzenie, jakie będzie mógł spełnić koralik, zanim stanie się zupełnie, najzupełniej przezroczysty.

— Muszę się dobrze przedtem namyślić, czego bym chciała...

— postanawia. — Może chciałabym mieć na przykład taką lalkę z domu towarowego... albo może...

— Karolciu! Zupa stygnie!

Oho, ciotka Agata jest już trochę, ale tylko troszeczkę zagniewana. Bo nie lubi, kiedy kto spóźnia się do stołu.

— Idę już, ciociu! Idę.

Wszyscy już siedzą przy stole i czekają na Karolcię. A na talerzu stygnie zupa... Och! Wstrętna, znienawidzona zupa jarzynowa! Gdyby tak zamiast jarzynowej była na talerzu na przykład zupa... Ojej, Karolcia od razu przestaje myśleć o tym, jaką zupę wolałaby od jarzynowej. Bo jedno niebaczne życzenie, jeśli przypadkiem będzie wtedy trzymała koralik w rękę, i już przepadnie jedyna i ostatnia okazja spełnienia jakiegoś życzenia naprawdę wspaniałego. Tak, tak, trzeba się mieć na baczności. A właściwie najlepiej byłoby przed powzięciem tak ważnego postanowienia porozumieć się z Piotrem. Bo może by na przykład poprosić koraliczek, aby w ogrodzie zawsze były przedstawienia cyrkowe za darmo dla wszystkich dzieci? Albo żeby mieć własne, małe auto? Trzeba koniecznie pomówić o tym z Piotrem. Sprawa jest bardzo poważna.

— Jedz, Karolciu! Co ci jest? Czy nie masz apetytu? — zdziwiła się mama. — A może ona jest chora? Zdaje mi się, że ma bardzo czerwoną buzię. Może ma gorączkę.

— E, chyba nie — uspokoił mamę tatuś. — Na pewno nie ma temperatury. Po prostu szaleli obydwójce z Piotrem w ogrodzie.

— A właśnie, słyszałam już na mieście, ludzie mówili, że podobno był dziś w ogrodzie sam Prezydent Miasta i że nie pozwolił na zamknięcie, i że podobno działały się tam różne rzeczy.

— Aha! — przytaknął tatuś. — Piszą o tym w gazecie, tej popołudniowej. A o tym dziwnym zwierzęciu czytałaś? Trzeba będzie w najbliższą niedzielę pójść do Zoo, zobaczyć tego zwierzaka. Prawda, Karolciu? Pójdziemy. Ty przecież lubisz chodzić do Zoo?

— Nnnie, już teraz nie bardzo lubię — wyjąkała Karolcia. Kiedy pomyślała, że musiałyby raz jeszcze spotkać się z Filomeną, nawet taką niby unieszkodliwioną, zamkniętą w klatce, dreszcz ją przeszedł. I zaraz postanowiła, że za nic na świecie nie pójdzie do Zoo, dopóki tam będzie przebywać Filomena. Chyba że już jej tam nie będzie. Podobno czasem wymienia się różne zwierzęta z zagranicą. Może na przykład wymienia Filomenę na ślicznego niedźwiadka? Albo na żyrafę?

— Jedz, Karolciu! — woła znów mama. — Patrz, wszyscy już zjedli i czekamy tylko na ciebie! Czy prosisz o kompot?

Karolcia kręci przecząco głową.

— Nie chcesz kompotu? Kompotu z wiśni? Twojego ulubionego kompotu? — nie może się nadziwić mama. — Ona jednak chyba jest chora.

— Nie, nie jestem chora! — protestuje gwałtownie Karolcia.

— Ja... ja już będę jadła ten kompot.

— Nic nie rozumiem — dziwi się mama — raz chcesz; raz nie chcesz. Nie mam pojęcia, co się z tobą dzieje, moje dziecko.

Ba, żeby mama wiedziała, toby się nie dziwiła. No bo jakże

Karolcia mogła powiedzieć: „Proszę o kompot” — kiedy akurat w tej chwili lekkomyślnie sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej koraliczek? A potem nie mogła w pomieszczeniu do tej kieszeni trafić. I czy można było trzymając koralik w ręku prosić o kompot? Chyba jasne, że nie można było. Ale grunt, że zdążyła schować koralik do kieszeni. Trzeba jednak koniecznie pogadać z Piotrem.

ŻEGNAJ, KORALIKU!

Z Piotrem jednak można było pogadać dopiero nazajutrz. Po prostu po obiedzie jego mama zabrała go do jakiejś ciotki na imieniny i mowy nie było o zobaczeniu się z nim. Ale zaraz rano, kiedy tylko można było wyrwać się na podwórze, Karolcia zapukała do drzwi na drugim piętrze i oświadczyła stanowczo:

— Muszę koniecznie jak najprędzej z tobą pomówić.

— Bo co się stało? — spytał Piotr najspokojniej w świecie, zupełnie jakby nie pamiętał o tym, co się wydarzyło im wczoraj, i jakby nie istniała jeszcze możliwość rzeczy niezwykłych.

— Nic się nie stało — odpowiedziała Karolcia — ale może się stać. Zejdź zaraz na podwórze. Trzeba się poważnie zastanowić.

A ten Piotr znów swoje: — A nad czym?

— Jak to: nad czym, jak to: nad czym? Piotr! Ty chyba jeszcze śpisz?! A koralik? — wyszeptała Karolcia.

W tym momencie Piotr wreszcie odzyskał przytomność i ożywił się.

— Aha! No, dobra, zaraz lecę. Jeszcze tylko wyłopię mleko.

I widać złopnął szybko, bo po małej chwili już był na podwórzu wyraźnie zaniepokojony.

— No i co? — zapytał zdyszany, bo pędem zbiegł ze schodów.

— Jak to: co? Musimy się naradzić. Musimy się naradzić, co zrobimy z koralikiem.

— A czy on już zrobił się zupełnie przezroczysty? — zaniepokoił się Piotr. — Trzeba przyznać, że wczoraj prosiliśmy go o masę rzeczy. Ale nie można było inaczej.

— Pewnie, że nie można było inaczej — zgodziła się Karolcia.

— A teraz chodzi mi o to, że tak naprawdę to zdaje się, że niebieskość koralika starczy na jedno tylko życzenie.

— Duże czy małe?

— Może nawet i na takie trochę większe. Tylko rozumiesz, ja się okropnie boję, że jeśli tak się zdarzy, że będę trzymała

akurat koralik w rękę i powiem byle co, tak jak na przykład powiedziała ciotka Agata z tymi ciastkami, to co? To zmarnuję życzenie i już o nic więcej nie będę mogła poprosić.

— No pewnie — zgodził się Piotr. — Pewnie, że to byłaby szkoda. Gdybyś tak na przykład powiedziała nieostrożnie: „Chciałabym wiedzieć, gdzie jest moja szczotka do butów”.

I zaraz by się to spełniło!

— Ach! Nawet nie mów takich rzeczy! — zdenerwowała się Karolcia. — Ale sam teraz rozumiesz, że z powodu tego jednego jeszcze życzenia, jakie mogę powiedzieć koralikowi, nie powinnam postępować lekkomyślnie.

— Oczywiście, że nie możesz! Ale powiedz, czy on naprawdę już jest taki błądy?!

— Jest, jest — westchnęła ze smutkiem właścicielka błękitnego koralika — jest zupełnie bledziutki, biedaczek. I wiesz, czego mi żal? Że on przez takie moje jedno życzenie już przestanie być widocznym, wesołym, błękitnym koralikiem, a stanie się niewidzialny. No, a poza tym, że nie wiadomo, w czyje ręce potem się dostanie!

— Wobec tego musisz dobrze się namyślić i wypowiedzieć jakieś życzenie, które byłoby bardzo potrzebne i ważne.

— Myślałam co prawda o pewnej przepięknej lalce — zaczęła niepewnie Karolcia, ale widząc pełne oburzenia i pogardy spojrzenie Piotra, zaraz się poprawiła: — No, oczywiście, że nie myślałam o tym poważnie. To nie jest rzecz, o którą prosi się koralik, mój drogi. Ja wiem, że musi być coś poważniejszego.

— No pewnie. Czy nie wiesz o tym, że jest okropnie dużo ludzi, którym są potrzebne o wiele ważniejsze rzeczy niż lalki?

— Wiem — przyznała pokornie Karolcia — toteż dlatego chcę z tobą się naradzić. Ja właściwie nawet tak bardzo nie chcę tej lalki. Mogę się bez niej obejść. Daję ci słowo! Tylko co by tu wymyślić?

— Ojej! Też masz Zmartwienie! A czy wiesz, że Leszek, moja droga, chciałby mieć na przykład rower? A nie może mieć, bo jego rodziców nie stać na kupno roweru. A rower jest ważniejszy niż lalka, sama chyba przyznasz.

— Jest — powiedziała bez wielkiego przekonania Karolcia.

— Właśnie! A takim jednym dzieciom, które mieszkają nie w naszym bloku, tylko w sąsiednim, to potrzebne są buty na zimę. Co ty na to?

— To może ja poproszę o te buty? — zaofiarowała się Karolcia.

— Im są potrzebne buty, ale jeszcze innym potrzebne są ha przykład książki. Też ważna rzecz, co?

— Kiedy książki można kupić — nieśmiało zauważyła Karolcia.

— Można, można. Pewnie, że można, jak się ma pieniądze. A oni nie mają.

— Aha!

— Widzisz! A znów Agasia, Agasia marzy o skakance. A Dorota marzy, być może, o wrotkach. Albo o jeszcze czym innym. Każdy ma jakieś marzenia. Naturalnie, że jedne są bardziej ważne, a drugie mniej. Albo dorośli, moja droga. Też mają swoje zmartwienia. Weź taką panią Leśniewską z trzeciego. Ciągłe jęczy, że bolą ją nogi i ręce. Taki ma reumatyzm. Ona na pewno chciałaby być zdrowa. Pomyśl, jakby się cieszyła, gdyby tak nagle wyzdrowiała.

— A ty co byś chciał, Piotrek? — spytała naraz Karolcia.

— Ja? — Piotr zastanowił się przez chwilę i zaraz potem powiedział: — Ty, tylko nie śmiej się ze mnie, to ci powiem. Ja bym tak chciał tu stać na podwórku i patrzeć, co by tu się działo, gdyby tak spełniło się życzenie każdego człowieka, który tu mieszka. Każdego dziecka i każdego dorosłego. Tobo było, co?

— Ach! — westchnęła z zachwytem Karolcia — toby było wspaniale. Ale czekaj! Dlaczego tak by nie miało być? Przecież to tylko od nas zależy. Jedna prośba do koraliczka.

— Hm! Jedna, ale już ostatnia!

— No to co! Właśnie niech ta ostatnia taka będzie. Co, Piotr?

— Pewnie, że to byłoby najlepsze. Czy tylko koralik zechce to zrobić? Tak masowo! Dla wszystkich?!

— Rzeczywiście — zaszepiła się Karolcia. Ale zaraz rozpogodziła się. — Słuchaj, przecież to nic nie szkodzi spróbować. Więc zaraz spróbuję.

— Naprawdę?

— No pewnie.

— A nie będziesz żałowała, że tak niby nic dla siebie nie prosiłaś?...

— Ojej, Piotr, przestań. Więc już mówię życzenie — uwaga!

— Strasznie mi serce bije w tej chwili — przyznał się Piotr.

— A myślisz, że mnie nie? Ale uwaga, już!

I Karolcia po raz ostatni położyła na dłoni koralik i szeptem wypowiedziała życzenie. A potem zacisnęła mocno pięść, tak jakby jeszcze chciała go choć na trochę zatrzymać! Zaraz jednak zaczęły się w całym domu dziać tak dziwne i nieoczekiwane rzeczy, że zupełnie przestała wtedy myśleć o koraliku.

— Patrz, co się dzieje! — zawołał Piotr.

Tak, tak, było na co patrzeć.

Przed wszystkim więc jak wicher śmignął koło nich Leszek na nowiuteńkim rowerze. Agasia, która wybiegła z sieni, od razu zaczęła skakać przez nową, śliczną skakankę, a trzy inne miała jeszcze przewieszone przez szyję. Ciotka Agata przemknęła przez podwórze



przystrojona w nowy kapelusz z kwiatami, a pani Leśniewska, ta z trzeciego piętra, zbiegła ze schodów zupełnie zdrowa, jakby nigdy w świecie nie chorowała na reumatyzm.

— Jestem szczęśliwa! — wołała do wszystkich. — Nic mnie już nie boli!

Za panią Pieniążkową, która mieszkała w sąsiednim bloku, szło z powagą dziesięć białych kotów, gdyż, jak wyznała, zawsze chciała mieć co najmniej tyle białych kocurów, a Waldek przemknął obok trzymając pod pachą nowiuteńką piłkę do siatkówki. Przed oknem dozorki wyrosły kwitnące grusze, a tatuś Karolci zajechał najniespodziewaniej w świecie na nowym skuterze. Mama Piotra biegła z całą ogromną paką książek, które zawsze chciała mieć, a mama Karolci przybiegła zdyszana, ale niezmiernie szczęśliwa, wołając, że wszystkie dzieci w szpitalu wyzdrowiały, co było jej największym marzeniem.

Z każdego mieszkania dobiegał śmiech i radosne okrzyki. Wszyscy wyglądali przez okna i opowiadali sąsiadom o swoim szczęściu.

Naraz z jednego z mieszkań rozległy się dźwięki skrzypiec — ktoś grał bardzo ładnie, tak ładnie, że wszyscy umilkli zasłuchani. Nie trwało to jednak długo, gdyż już po chwili zajechał na podwórze wóz radiowy i auta z dziennikarzami.

— Przyjechaliśmy robić wywiad z najsłynniejszym skrzypkiem na świecie — powiedzieli. — Mieszka tu na trzecim piętrze, mieszkania siedemnaście.

Pod numerem siedemnastym mieszkał, jak wszyscy wiedzieli, pan Grzybek. Pan Grzybek był urzędnikiem na poczie i nikt nie słyszał o tym, aby miał być najznakomitszym skrzypkiem na świecie. Co prawda grał czasem wieczorami cichutko i nieśmiało. Ale żeby był artystą? Nikt nie przypuszczał.

— Prosimy zrobić miejsce! Będziemy zaraz nakręcać film z mistrzem Grzybkiem — wołali tymczasem filmowcy, którzy też nadjechali ze swoim wozem. A pan Grzybek zszedł z trzeciego piętra, ze skrzypcami w ręku, błydy i wzruszony, ubrany w piękny frak i kłaniał się wszystkim wokoło.

— Widzisz? Pewnie marzył właśnie o tym, żeby być najsła-

wniejszym skrzypkiem na świecie — szepnął Piotr do Karolci. Ledwie jednak zdążył to powiedzieć, kiedy zjawiły się na podwórzu nowe, dziwnie wyglądające postacie. Tylko że tego dnia nic nikogo nie dziwiło!

Byli to ludzie o skórze barwy miedzi i czarnych włosach, w których mieli wspaniałe pióra, a w rękach trzymali tomahawki. Podeszli zaraz do Piotra i z serdecznym uśmiechem wyciągnęli do niego ręce na powitanie.

— Witaj, wspaniały, dzielny nasz przyjacielu — powiedzieli uprzejmie.

— Witajcie w moim wigwamie — odpowiedział na to najwyraźniej w świecie Piotr i zaraz zwrócił się do Karolci:

— Pozwól, że ci przedstawię najdzielniejszych wojowników ze szczepu Delawarów. Oto Sokole Oko.

— Witaj, Płocha Sarenko — uklonił się uprzejmie Wielki Wódz Sokole Oko i podał Karolci rękę.

— Teraz rozumiem! — zawołała Karolcia — to było twoje skryte marzenie!

— Tak — wyznał Piotr ze skruką.



Ale nie było czasu na dalsze wyjaśnienia, bo na podwórzu przy blokach działały się coraz to dziwniejsze rzeczy i coraz było radośniej i weselej. Wreszcie doszło do tego, że grupka mieszkańców przyniosła drabinę i przystawiła ją do ściany domu, na której była tabliczka z napisem: Ulica Kwiatowa.

— Co oni będą robić? — zdziwiła się Karolcia.

— Cicho! Zaraz zobaczymy — mruknął Piotr. — Widzisz? Zdejmują starą tabliczkę. Ależ tak, zawieszają nową. Zaraz, co tam jest napisane? Aha, już widzę: „Szczęśliwy Zaułek”. Widzisz? Widzisz, Karolciu? Tu teraz mieszkają ludzie szczęśliwi. Zadowolona jesteś?

— No pewnie! — powiedziała Karolcia. I już nie mogła więcej mówić, bo było jej tak dziwnie, że aż miała ochotę rozplakać się.

— Czy można płakać z radości? — spytała wreszcie Piotra.

— Zdaje mi się, że można — odpowiedział też takim trochę dziwnym głosem. — Nie wiem, co się stało, ale mam takie jakby ściśnięte gardło.

— A ja... — zaczęła Karolcia. Ale już więcej nic nie mówiła, tylko poczuła, że spływa po twarzyczce jakaś gorąca kropla. Podniosła rękę, aby ją otrzeć, i w tej chwili przypomniała sobie, że przecież trzymała przed chwilą błękitny koralik. Otworzyła więc dłoń, ale już go tam nie było, już nie błękitniał. Błyszczała tam tylko teraz mała kropelka rosy. I nie było wiadomo, czy to koralik, czy może Karolcina łza? A potem przezroczysta kropla stoczyła się z ręki na trawę.

— Koraliczku! — szepnęła Karolcia.

I zaraz obydwójce z Piotrem przyklekli, aby go poszukać, ale już nie znaleźli.

Być może, że jeszcze go kiedyś odnajdą. A może znajdzie go ktoś inny. Może które z was? Nigdy nic nie wiadomo i wszystko jest możliwe.

A również może tak się zdarzyć, że koralik na nowo jaśniejący swą błękitną barwą wróci do Karolci i Piotra i że znów spotkają ich niezwykle przygody. A może te przygody czekają na kogoś z was? Trzeba tylko umieć znaleźć błękitny koralik...



Karolcia

— Taaaak?! — zdenerwował się teraz z kolei Piotr. — Taka jesteś ważna? A na pewno nie potrafisz stać się... niewidzialna!

— Niewidzialna? — Karolcia wzruszyła ramionami. — Przecież to drobnostka dla mnie. Zaraz mogę to zrobić.

— E, śmieszna jesteś z tymi przechwałkami. Myślisz, że ci uwierzę? — szydził Piotr.

— Tak? No, to zaraz zobaczysz!

I w jednej chwili Karolcia stała się przezroczysta jak szkło. Tylko wiszący na jej szyi koralik jaśniał jak błękitny kwiatek unoszący się w powietrzu.

lektura dla klasy drugiej szkoły podstawowej

ISBN 978-83-7162-457-5



9 788371 624575 >

lg